Nr. 20 Poznań, dnia 17 maja 1903. Rok VII




# Cichaczem!

Pismom naszym można niejedno zarzucić, zwłaszcza wielkim organom konserwatywnym, ale pod jednym względem — pocieszmy się! — przesadziły o całe niebo prasę europejską: umieją milczeć. Nasze pisma mniejszych rozmiarów, stokroć więcej żywotniejsze, przynoszą nieraz do wiadomości uderzające fakty z życia społecznego i dyskutują o nich żywo, ale do „wielkich“ organów nie przekradnie się ani echo tego, gdyż ludziom ładu i porządku nie należy mówić całej prawdy, która jest zbyt silnym pokarmem dla słabych żołądków.

Panują u nas w tym względzie stosunki przedpotopowe; podczas gdy gdzieindziej jest pierwszym i kardynalnym obowiązkiem prasy dostarczać jaknajwięcej wiadomości, u nas jest już niemal obowiązkiem — milczeć o wszystkiem co mogłoby chociażby na chwilę zakłócić rajski pokój ducha bractwa skupiającego się wkoło tegoż pisma. Gdzieindziej Czytelnicy wołają do prasy: wiadomości i wiadomości! — tu zaś: „nie budźcie nas! nie denerwujcie nas! sza!“ Jak długo n. p. trwało, zanim Czytelnicy dwóch „Poznańskich“ dowiedzieli się o istnieniu socyalistów nad Wartą i o zebraniach urządzanych przez nich? Każdy przyzna, że nasze „wielkie“ organy są istotnie „wielkie“ w sztuce milczenia.

Zdarzył się świeżo znowu znamienny fakt, o którym „nasze wielkie“ gazety solidarnie przemilczały, nie uważając nawet za stósowne osłaniać „swoich“ i kruszyć kopii za swego posła. I ostatecznie czemu miały dotykać drażliwej sprawy i rozmazywać ją? Fortelem udało się przeprowadzić na dwóch wiecach kandydaturę posła ultrazachowawczej barwy, więc zacierają ręce, uważając, że im mniej się mówi o tej sprawie — tem dla nich lepiej. A nieobliczalny „Orędownik“ — który w tej materyi stanął po stronie zachowawców dla siebie tylko zrozumiałym sposobem — wtórzy im w przedziwnym chórze milczenia. Mniejsza o to, że ze względów czysto obywatelskich każde pismo powinno poruszyć tę sprawę, mniejszą, że gdyby *tajne wiece* stały się regułą — wytworzyły-by się u nas stosunki jakieś azyatyckie.

Z pewnością Czytelnik, który nie ogranicza się na czytaniu „wielkich“ naszych pism i „Orędownika,“ domyślił się, że mamy na myśli sławetne wiece w *Koźminie* i w *Krotoszynie*. „Wielkie“ organy obwieściły nam przed kilku miesiącami, że ks. prałat Jażdżewski nie chce więcej kandydować na posła, ale zapomniały dyplomatycznie donieść, że odnośny komitet prowincyonalny zdołał cichaczem uprosić ks. prałata, by przyjął nadal mandat, i że poseł Jażdżewski raczył cichaczem uledz prośbie.

Z „wielkich“ pism i „Orędownika“ nie dowiedzielibyśmy się przenigdy, że odnośny komitet urządził wiece cichaczem i wogóle tak inscenizował komedyę, aby poseł Jażdżewski wszedł do parlamentu chociaż — cichaczem. Nie zwołał przeto wieców na niedzielę, lecz na dzień powszedni i ograniczył się na uwiadomieniu interesowanych o tych wiecach tylko za pomocą „Dzien. Pozn.,“ „Kuryera Pozn.,“ a więc dwóch najmniej popularnych organów, oraz — „Przewodnika Katol.,“ z którego chyba tylko stare baby mogą informować się o polityce! Zakrawało by to na żart, *na kpiny z wyborców w krotoszyńsko-koźmińskim okręgu* — gdyby cel tego manewru nie był tak zupełnie przejrzystym....

Poseł Jażdżewski, który *chwalił się* w izbie, iż w jego okręgu przez pięć lat nie odbył się ani jeden wiec, będzie mógł teraz chwalić się, że zaprowadzono u niego nowy sposób urządzania zebrań i to — *tajnych* tak, aby jaknajmniejszą ilość obywateli wciągnąć w ruch społeczny. Okręg krotoszyńsko-koźmiński może jeszcze dostać za to jaki order — siódmej

klasy! Bo rzeczywiście, jeźli panowie komitetowi nie rozumieją, że tak się wieców *nie* urządza, jeźli uważają za rzecz godziwą *bojkować (naturalnie!!) prasę ludową* i przepychać posła cichaczem — zasługują istotnie na odznakę. Zanim wszakże odbiorą nagrodę w postaci ewentualnej pochlebnej wzmianki z ust ministra — ogół powinien odznaczyć ich za dowcipny wynalazek tajnych wieców — za usuwanie na bok bez hałasu, cichaczem żywiołów niewygodnych, bo domagających się udziału w życiu publicznem. Dla uproszczenia swej procedury wiecowej ci panowie komitetowi powinni zaproponować, aby — na wzór pruski — ludowcy po pierwsze: trzymali języki za zębami na wiecach, 2) składkowali na cele wybor., 3) jak żołnierze w szeregu szli do urny wyborczej. Myśl tę podsuwam panom komitetowym z Krotoszyna i Koźmina i nie wątpię, że będą mi za nią wdzięczni, tem więcej, iż na przyszłość nie da się urządzać tajnych wieców, bo — jak mi wiadomo — ludowcy w Krotoszynie i w Koźminie, wpadłszy raz w dołek, obiecują sobie więcej czujności na przyszłość, a taktyka parlamentarna posła Jażdżewskiego jest im solą w oku.

Oczywiście zachowawcy wyzyskali sytuacyę. Chociaż poseł Jażdżewski miał tylko zdawać sprawę z czynności parlamentarnych, skorzystał z sposobności, by zarazem upiec własną pieczeń i wylać swój gniew na „Pracę," „Dzien. Berl." i „Gońca W." za to chyba, że pozwalają sobie protestować przeciwko polityce umizgów, przeciwko wycieczkom na prasę naszą i górnoślązkich redaktorów, jednem słowem, że posiadają własne niezależne zdanie. Jeźli poseł Jażdżewski ma co do powiedzenia przeciwko prasie ludowej, niechaj powie, ale zaprawdę mógłby wybrać sobie inne stósowniejsze audytoryum, aniżeli izbę pruską, którą to zresztą nic nie obchodzi, co poseł J. myśli o prasie poznańskiej. Są to nasze czysto wewnętrzne sprawy, więc dziwić się można, że poseł J. chodzi na skargę do Niemców. Czy od nich spodziewa się lepszego zrozumienia i większej sympatyi?

Były czasy u nas, gdy jedna czy dwie osobistości rozdawały mandaty według swego widzimisię czy interesu, a masy wyborców kiwały głowami i panował pokój taki jaki panuje jedynie w raju lub tam, gdzie sen padł na ludzi. Obecnie minął wiek złoty, więc zachowawcy nie mogą się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy, z tem że obudził się zmysł krytyczny w prasie, że ogół poczyna na seryo traktować wybory i obliczać się z swymi posłami. Ztąd ta drażliwość wobec odmiennego zapatrywania, ztąd ta pohopność do *bojkotu* ziomków dla ich pojęć, właśnie ze strony tych, którzy na ustach mają wiecznie zarzut „niedojrzałości politycznej," a sami, starając się zwalczać innych tak prymitywnymi środkami, wystawiają sobie nader smutne świadectwo dojrzałości. Tyle zwolennikom bojkotu.

W odpowiedzi posłowi krotoszyńskiemu przypominamy, że był czas, gdy „Praca" z gorącem uznaniem mówiła o jego mowach (n. p. w num. z dnia 19-go stycznia 1902), a że czasy te minęły — nie nasza wina. Że nie wojujemy epitetem „ugodowiec," jak twierdził poseł J. — wiedzą wszyscy pilniejsi od niego Czytelnicy „Pracy" chociażby z artykułu wstępnego w ostatnim numerze. Ks. prał. Jażdżewski jest niemal *jedynym polityk*iem, do którego określenia *ugodowiec* czy, jak chce „Dzien. Berl.," *n eugodowiec* może dziś jeszcze śmiało być stósowanem.

A że nie tłomaczymy określeń „ugodowiec" i „ludowiec" tak naiwnie, jak to robił poseł J. w Krotoszynie — to musi on nam już wybaczyć, bo nie chcemy zbywać słomą Czytelników, ani trzymać ich w ciemności. Nie jesteśmy zwolennikami teoryi: *cichaczem!*

Dlatego też z uznaniem podnosimy, że znalazł się na zebraniu krotoszyńskiem kapłan, który podniósł głos przeciwko bojkotowi pism ludowych tak, iż przeszedł wniosek, że odtąd wiece mają być ogłaszane we wszystkich pismach naszych. Podkreślamy to, zapewniając go, iż zaskarbił sobie wdzięczność kół istotnie dbałych o rozwój ludu — o tyle, o ile prawo do wdzięczności stracili ks. ks. Jaworski i Biernacki, którzy niebacznie wytwarzają dysharmonią pomiędzy sobą, a ludem na niwie społecznej.

Cóż na to wszystko powiedzą wyborcy krotoszyńscy i koźmińscy? Czy będą patrzeć spokojnie jak ich komitety okrywają się smutną sławą za urządzanie tajnych wieców? Czy nie znajdą właściwej odpowiedzi na takie kpiny? Czy nie upomną się o prawo i pozwolą, aby bractwo adoracyi posła Jażdżewskiego narzucało im posła bez ich przyzwolenia, — cichaczem?

Bądź co bądź powinni pociągnąć swe komitety do odpowiedzialności, domagać się zwołania ponownego wiecu, raz ze względu na to, iż w ruchu przedwyborczym powinny brać udział jak najszersze masy, a powtóre dlatego, że są to *sobie sami winni* — jeźli nie chcą, aby inne okręgi wytykały ich palcem i posądziły o chęć tłumienia poczucia obywatelskiego, o *bezmyślną* służbę bractwu adoracyi, o popieranie ostatniego z ugodowców i przedpotopowej taktyki: cichaczem!

*Quis.*

## „Górno-Ślązak polskiego rodu."

„Katolik" bytomski brnie coraz dalej i głębiej w bagno apostazyi narodowej. Trzynaście lat temu, gdy pan Adam Napieralski objął redakcyą „Katolika", pismo to nie śmiało jeszcze nazwać Slązaków *Polakami,* lecz tytułowało ich stale *„katolikami polskiego języka"* lub *„po polsku mówiącymi Slązakami"*. Tymczasem dużo się zmieniło na Ślązku. Lud tamtejszy z dumą dziś przyznaje się do polskości i do macierzy polskiej, zabiera się nawet do zaciętej walki, ażeby dowieść przed całym światem, że jest polskim, że Slązacy to dzielni i pracowici Polacy; — tymczasem w kołach zwolenników „Katolika" odżył na nowo — „Slązak po polsku mówiący" czyli, jak się dziś nazwał: *„Górno-Slązak polskiego rodu."* Rzecz nie do uwierzenia, a jednak *prawdziwa!*

Wiadomo, że w celu zwalczania ruchu narodowego, na którego czele stoi polskie „Towarzystwo wyborcze" — „Katolik" wysunął a raczej postawił rzekomo również polską kandydaturę górnika Teofila *Królika.* Kandydatura ta, jakkolwiek postawiona w porozumieniu z bytomskim komitetem centrowym, nie znalazła uznania w znacznej części tamtejszych wyborców niemiecko-katolickich. Nie sprzeciwiali się jej oni jednakże z tego powodu, iżby uważali p. Królika za Polaka, lecz jedynie dlatego, iż jest on górnikiem, robotnikiem. Ostatecznie tyle przeciwko jego kandydaturze na ręce komitetu centrowego nadeszło protestów, że komitet uznał za potrzebne zebrać się raz jeszcze i zażądać od p. Królika obszernego wyznania wiary politycznej.

Pan Królik usłuchał wezwania tego i dnia 5-go bm. stanął przed obliczem komitetu centrowego. Mało nas interesuje w tej chwili program ekonomiczny i socyalny, jaki przedłożył jako swój przywódzcom centrowym; dlatego zbywamy go milczeniem. Ważnym natomiast jest ustęp jego „wyznania wiary“, dotyczącej kwestyi *narodowej*. Ten też ustęp przytaczamy dosłownie według — „Katolika“.

„W niekatolickich gazetach — wywodził p. Królik — nazywają mnie „Wielkopolakiem“ (grosspole) albo wielkopolskim agitatorem. Wobec tego oświadczam, że jestem *„Górnoślązakiem polskiego rodu“*, który swoją ojczystą mowę kocha i w tem uczuciu czuje się w jedności z całym polskim ludem *Górnego Śląska*. Jako poseł będę z całych sił bronił praw moich polskich współbraci w kościele, szkole i życiu publicznem. Przez to nie dostaję się wcale w przeciwieństwo do programu partyi centrowej.“

Zbyteczne nadmienić — że zarówno program ekonomiczno-socyalny, jak i ten *„narodowy“* pana kandydata zyskał poklask komitetu centrowego i że komitet definitywnie uznał kandydaturę jego jako jedyną legalną *centrową* w okręgu bytomskim. Tak jest — „przez ten program“ — pan Królik „nie dostał się wcale w przeciwieństwo do programu partyi centrowej.“

Centrum bowiem publicznie i jawnie nie sprzeciwia się temu, ażeby Górnoślązacy w sejmie i parlamencie bronili swego języka ojczystego a raczej — narzecza górnośląskiego; na miejscu wprawdzie, mianowicie w kościele i w życiu publicznem samo go ignoruje, tępi i podkopuje. Stronnictwu centrum zależy przedewszystkiem na tem, ażeby Górnoślązacy pozostali na wieki *Górnoślązakami* — chociażby po polsku mówiącymi — nigdy zaś nie poczuwali się za *Polaków*, nie dążyli do zupełnej *narodowej* jedności *z resztą narodu polskiego*. To kwintesencya „polskiej“ polityki centrowej! I pod tym względem pan Królik dał mu gwarancyą zupełną. Sam oto uważa się tylko za *„Górnoślązaka polskiego rodu“* a poczuwa się do łączności *jedynie z podobnie myślącymi ziomkami śląskimi — bynajmniej zaś nie z Polakami na Śląsku i w całej Polsce.*

A „Katolik“? „Katolik“ nietylko pochwala to stanowisko swego pupila, lecz tak się niem zachwyca, że proklamuje pana Królika powtórnie jako *jedynego* pracowitego kandydata dla okręgu bytomskiego.

Zaprawdę — nie wiadomo, co tu bardziej „podziwiać“, czy śmiałość tej narodowej apostazyi, czy też bezdenną przewrotność, z jaką zwolennicy „Katolika“ w niektórych organach galicyjskich przedstawiają kandydaturę Królika — jako *zdobycz* dla — polskości....

A więc po trzynastu latach pracy na Śląsku pod obecnem kierownictwem (dawniejszych lat dwudziestu wcale już nie liczymy) „Katolik“ wskrzesza znów *„Górnoślązaków polskiego języka“* czy tam — *„rodu“*. „Piękny“ rezultat pracy pana Napieralskiego — „wielka“ jego zasługa około narodowego odrodzenia ludu śląskiego!! Wybraniec „Katolika“ wypiera się publicznie *nazwy Polaka — wypiera się matki Ojczyzny, wypiera się narodu swego, schlebia Niemcom, korzy się przed nimi, byle tylko z ich rąk dostać mandat poselski....*

Takiego przedstawiciela i obrońcę narzuca „Katolik“ polskiemu ludowi śląskiemu i jeszcze się chełpi — swemi *zasługami!* Wstyd i hańba! *Polacy* śląscy — czyż oddacie wasze głosy takiemu kandydatowi? Toć słusznie potem tak jego jak i was Niemcy nazywać będą znów *„Wasserpolakami“*....

I tak postępuje „Katolik“ wobec stronnictwa, które samo już uważa pozycyą swą na Śląsku niemal za straconą. Grono posłów centrowych, między nimi znany poseł z nad Renu ks. *Dasbach*, zwołało w tych dniach konferencyą prowodyrów centrowych ze Śląska do Raciborza, ażeby się porozumieć co do zreformowania *prasy centrowej* na Śląsku. W zaproszeniu na tę konferencyą czytamy, że reforma prasy musi nastąpić, jeśli Śląsk nie ma być stracony dla Centrum; dosłownie: „falls Oberschlesien dem Centrum nicht verloren gehen soll.“ Ciekawiśmy bardzo, czy reforma ta ma także obejmować *„Katolika“*? Właściwie powinno i to pismo obejmować. Wyparłszy się polskości, „Katolik“ powinien się wogóle zamienić na pismo *niemiecko*-katolickie — gdyż dziś prasie *polskiej* przynosi jedynie *wstyd i hańbę.*

I w drugim jeszcze wypadku stwierdzić musimy cofnięcie się „Katolika“ na bezwzględnie centrowe, a nie polskie stanowisko z przed *13 laty*. Usiłując przejednać wyborców polskich w okręgu *torzecko-gliwickim nawet* z kandydaturą hr. *Ballestrema*, wydobył teraz na jaw artykulik, zamieszczony wówczas w jego obronie. Była to odpowiedź na rewelacyą *„Nowin Raciborskich“* co do głośnego orzeczenia hr. Ballestrema o biciu po twarzy Polaków śląskich. „Katolik,“ który wówczas taką samą toczył walkę z „Nowinami“, jak dziś z „Górnoślązakiem“ — starał się osłabić ich rewelacyą zapewniając, że „hr. B. nie groził biciem ludowi, tylko polskim agitatorom, a że takich agitatorów na Śląsku *niema*(!!), więc też lud nie potrzebuje czuć się dotkniętym jego słowami.“ I tę pełną obłudy, krętactwa i perfidii interpretacyą „Katolik“, śmie dziś raz jeszcze rzucić w wir walki, dziś gdy już ani jednego posła z rodzaju Ballestrema, nie powinno być na Śląsku.

Nie bez powodu też zapewne „Germania“ głosi, że pan *Adam Napieralski zoobowiązał się czy „musiał zobowiązać się“ czynnie popierać kandydaturę hr. Ballestrema.* „Katolik“ przeczy temu wprawdzie, ale czyni to w formie takiej, jak gdyby sam *nie* spodziewał się już, że jego zapewnieniom ktokolwiek uwierzy! A tego tylko potrzeba, aby „Katolik“ stał się organem centrowym!

*Narodowiec.*

## „Dla dobra sprawy katolickiej.“

Po stronie, zwanej u nas pospolicie *„ugodową“* — jakkolwiek dziś już w dawniejszem nazwy tej znaczeniu nią nie jest — rozlega się głośno w toczącej się obecnie walce wyborczej hasło: *„dla dobra sprawy katolickiej!“* Pod tem hasłem potępia się ruch narodowy na *Śląsku* i samodzielne wystąpiene *wychodźtwa* naszego w zachodnich prowincyach pruskich, z tem hasłem na ustach zwalcza się ruch ludowy, ba! nawet elementarne odruchowe niezadowolenie szerokich kół wyborców z niektórych dotychczasowych członków Koła polskiego. Konserwatystom zabrakło widocznie na uzasadnienie swej polityki innych argumentów, jeźli sięgnęli po to, tak uroczyste dla religijnego społeczeństwa naszego, tak silnie oddziaływające mianowicie na sumienie ludu naszego hasło. Podnosząc je, głoszą niejako „świętą dla religijnego społeczeństwa naszego wojnę“ przeciwko wszystkim, którzy występują przeciwko ich polityce.

Pod tem hasłem zaszło u nas w ostatnim czasie kilka wypadków, zdawna niebywałych. Grono kapłanów, którzy przez kilka lat z uznania godną gorliwością i niemałem poświęceniem śpieszyli na zachód, ażeby nieść wychodźcom naszym pociechę religijną, wydało do wychodźców tych odezwę, zaklinającą ich, ażeby dla „dobra sprawy katolickiej“ odstąpili od stawienia polskiej kandydatury poselskiej, a popierali nadal stronnictwo *Centrum*. Równocześnie niemal pojawiła się napisana przez kapłana broszura, zwalczająca w bardzo niesmaczny sposób kandydaturę p. Kulerskiego w Prusach Zachodnich. Przed tygodniem zaś inny zacny zresztą i zasłużony kapłan w otwartym liście wzywał do unieważ-

nienia uchwał *legalnego* wieca wyborczego w *Kościanie*.... Kapłan ten nie odwołuje się wprawdzie wyraźnie na owo hasło, z całego atoli tenoru jego listu wnosić można, że również stoi na stanowisku tych, którzy w przeciwnikach naszych „ugodowców“ widzą „socyalistów“ — wrogów „dobra sprawy katolickiej“....

Na odezwę do robotników polskich w Westfalii i nad Renem otrzymali jej autorowie już dosadnią odpowiedź ze strony „Wiarusa“ bochumskiego a także ze strony robotników samych na ostatnich wiecach. W odpowiedzi tej wskazano mianowicie na to, że niesłusznym jest uczyniony wychodźcom w tych stronach zarzut, jakoby grzeszyli zbytnią niecierpliwością; toć czekali cierpliwie już niemal *ćwierć wieku* na spełnienie słusznych i pokornych próśb swoich w dziedzinie duszpasterstwa, a czegoż się doczekali? Odmowę za odmową, obelgi i upokorzenia. Dalej wskazano na to, że przecież tamtejsze wychodźtwo polskie ma własną organizacyą i *władzę wyborczą*, której słuchać winno. Więc podburzanie ich przeciwko tej władzy jest chyba czemś *niegodnem — kapłanów polskich*....

Odezwa ta musi sprawić przykre wrażenie, jako wydana przez kapłanów, którzy mogą sobie rościć prawo do pewnej wdzięczności ze strony tych, do których się odwołują. Czyniliśmy wam dobrze — piszą — a więc teraz powinniście się nam odwdzięczyć za to, słuchając głosu naszego. Dalej należy wziąć w rachubę to, że kapłani ci — to *spowiednicy* wychodźców. Twierdzą oni wprawdzie w swej replice na odpowiedź „Wiarusa“ — że zabrali głos jedynie jako *współobywatele* wychodźców. Jako tacy, jako obywatele wogóle posiadali bez zaprzeczenia prawo do wystąpienia z własnem zdaniem, i gdyby tylko z tego stanowiska byli przemówili, nikt by im tego nie mógł brać za złe. Ale właśnie cały tenor ich odezwy przeczy ich twierdzeniu. Toć wyraźnie wspomniano w niej o posłudze duchownej, oddanej wychodźcom i podkreślono charakter jej autorów jako spowiedników i dobroczyńców. W tem już mieści się *wielki a niewłaściwy nacisk na sumienie wychodźców polskich.*

Lecz przejdźmy teraz do ogólnej konkluzyi z powodu wszystkich tych wypadków.

Społeczeństwo nasze dużo zawdzięcza duchowieństwu swemu — i to w każdej niemal dziedzinie publicznego życia i narodowego bytu. Odwdzięczyło się też ono duchownym za te usługi tem, iż przyznało im stanowisko wyjątkowe, a tak pełne powagi i znaczenia, jakiego w dwóch innych zaborach duchowni nie posiadają. I przyznać trzeba, że duchowieństwo mądrze dotychczas korzystało z tego stanowiska. Starało się stać zawsze ponad stronnictwami, warstwami i spornemi kwestyami danej chwili, starało się być łącznikiem w narodzie. I było z tem dobrze zarówno duchowieństwu jak i społeczeństwu. Dziś niestety — jak tego dowodzą owa odezwa kapłanów, broszura ks. Kujota i list otwarty ks. Janasa, duchowieństwo zaczyna schodzić z tej jedynie właściwej dla niego wyżyny i mieszać się w tłum i w wir walki politycznej.

To źle — bardzo źle — a tem gorzej — że dzieje się to często pod hasłem: *„dla dobra sprawy katolickiej!“*

Jeżli w Westfalii z powodu „secesyi“ wychodźców polskich przepadnie jeden lub drugi poseł centrowy (bo tylko o najwyżej dwóch tam chodzi) — to będzie to — ich zdaniem — wielka szkoda dla sprawy katolickiej. Taką samą dla tej sprawy szkodą będzie, jeżeli na Ślązku zamiast centrowych posłów wybrani zostaną *Polacy*, lub jeżli centrowcy tak się o to pogniewają na Polaków, że przestaną głosować na polskich kandydatów w niektórych okręgach Księstwa; (co zresztą i tak już czynią). Stratą dalej będzie dla sprawy katolickiej, jeżeli w Księstwie zamiast pp. Cegielskiego, hr. Hektora Kwileckiego i Dziembowskiego wybrani zostaną pp. Mielżyński, Chłapowski i Niegolewski, lub jeżli posłem z Prus Zachodnich zostanie pan *Wiktor Kulerski*, to bowiem doprowadzi niechybnie do .... socyalizmu etc.

Natomiast stratą dla sprawy katolickiej *nie* jest, jeźli wskutek uległości dla Centrum i germanizacyi przez księży tysiące rodaków naszych obojętnieje nietylko dla narodowości, ale i dla *wiary* — i jeżli cały lud polski z tego powodu ogarnia wielkie, głębokie *wzburzenie!*...

Zaprawdę! dziwne to pomieszanie pojęć, a jeszcze dziwniejsze i smutniejsze zamykanie oczu na właściwy stan rzeczy.

Jakże tu wogóle można mówić o szkodzie „sprawy katolickiej“ — gdy się lud polski budzi do narodowego życia i do czynnej samoobrony? Jeden lub dwóch posłów centrowych z Westfalii mniej lub więcej — nie zmieni w Prusach położenia Kościoła. Co się zaś tyczy Ślązka, to czy z tej dzielnicy posłować będzie 20 posłów centrowych albo też 15 centrowych i 5 polskich — to dla sprawy *katolickiej* zupełnie na jedno wyjdzie. Narodowo-ludowy ruch polski wszędzie przecież posiada dziś charakter ściśle katolicki, a posłowie ludowi tak samo będą bronili sprawy katolickiej, jak centrowi, lub polscy „zachowawcy.“ Czyniony ruchowi temu zarzut, że wiedzie do socyalizmu, jest nietylko niegodną kapłanów kalumnią, ale także *nonsensem*, gdyż właśnie ruch ludowy *odwraca* lud nasz od pokus i podszeptów socyalizmu.

Zaprawdę! nie ten zdrowy odruch polskiego ludu, w którym mieści się przyszłość nasza, nie to naturalne zupełnie usiłowanie wychodźców naszych i rodaków na Ślązku zmierzające do wyzwolenia się z niebezpiecznych objęć katolickiej *niemczyzny*, która za głosy polskie płaci krzywdami i pogardą, lecz *właśnie takie niefortunne występy kapłanów polskich, jak te, o których mowa, są szkodą, a nawet wielkiem niebezpieczeństwem dla sprawy katolickiej u nas.* Dobro tej sprawy wymaga, ażeby lud z duchowieństwem łączyła miłość — kapłan bowiem jest dla ludu uosobieniem Kościoła. A jakże ma się utrzymać ta miłość i to zaufanie, jeżeli kapłani schodzą z wyżyny ścisłej bezstronności i oddają się na służbę pewnym *stronnictwom i koteryom*, sprzeciwiającym się temu, co lud słusznie uważa za główny warunek swego i ogólnego dobra?

Jeszcze kilka takich występów, a aureola bezwzględnej sprawiedliwości i wyższości, otaczająca nasze duchowieństwo, pryśnie i ustąpi miejsca podejrzliwości i niechęci. Na tem zaś ucierpi przedewszystkiem *sprawa katolicka.*

W walce, jaka się obecnie u nas toczy, nie chodzi przecież o *wiarę, o kościół*, lecz tylko o inną *formę i taktykę obrony narodowej*, w niczem nie uwłaczającą kościołowi i wierze. Najmniejszej więc niema przyczyny do porzucenia rezerwy, jaką duchowieństwo nasze dotychczas zachowywało. Ani *centrum*, ani nasze poselskie *„wielkości,“* usunięte teraz wolą ludu, nie warte takiej ingerencyi duchowieństwa. Już zaś na wiecach w Westfalii padły z powodu owej odezwy złowrogie słowa pod adresem duchowieństwa, jak: Zdrajcy! Masalscy! A więc „Caveant pastores“ — ażeby te głosy nie znalazły oddźwięku także w kraju! To bowiem bynajmniej nie wyjdzie na ... dobro sprawy *katolikciej*. Niechże hasłem tem wojują nasi świeccy zacofańcy polityczni, lecz niech go nie nadużywają — *kapłani!*

*Czujny.*

# Pielgrzymka do Rzymu.

(Specyalna korespondencya „Pracy").

*Bolonia.*

III.

Bolonia, leżąca w dolinie, rozdzielającej dwa pasma gór: Alpy padowańskie i Apeniny, jest miastem malowniczem i interesującem, ze względu na ulice z biegnącemi w około arkadami, rozmaitych kształtów i wielkości. Duże, olbrzymie wieże, z których jedna jest pochyłą i niezrównanej piękności pałace prywatne, oraz wspaniałe kościoły stanowią niezaprzeczenie wielki urok miasta. Plac del Nettuno i plac Vittorio Emanuele zajmują środek Bolonii.

Przyjechawszy tu dotąd około południa, zwiedziliśmy kościół św. Petroniusza, największy kościół w całem mieście, do którego wiodą troje drzwi, pokryte płaskorzeźbami z bronzu. Są tu w kaplicach przecudne freski Perugina, od których nie można oderwać oczu. Wogóle kto nie był w tutejszych kościołach, nie może mieć pojęcia o ich bogactwach. Przepełniają je rzeźby, delikatne a wspaniałe, dłuta sławnych mistrzów, oraz obrazy i freski.

Kościół św. Dominika prawie całkowicie odbudowany w XVIII. wieku godny widzenia nietylko ze względu pięknej budowy, lecz z powodu znajdujących się w nim dzieł sztuki, z których najważniejszym jest grób samego świętego, umieszczony w głównym ołtarzu, gdzie stoją w klęczącej postawie dwa aniołki trzymające kandelabry. Jeden z nich jest dłuta Michała Anioła i ma prawdziwie dziecinny wyraz, swej, otoczonej bujnemi lokami, twarzyczki. Cały zresztą grób ozdobiony płaskorzeźbami, wyobrażającemi sceny z życia świętego. — W absydzie św. Dominik w chwale niebieskiej, pędzla Guido Reni, na prawo od wejścia święty uzdrawia jakieś dziecko, na lewo pali księgi heretyckie.

Oglądaliśmy tutaj także cudownie zachowane za szkłem ciało świętego Serafina; twarz, chociaż zczerniała, o zamkniętych oczach ma wyraz ogromnie przemawiający do duszy taką łagodnością, spokojem jak i cierpieniem.

W tym samym kościele są podziwu godne stale, wykładane najcudowniej z drzewa w obrazy ułożoną mozajkę, świadczącą tak o latach, pracy i mozołu, jak przedewszystkiem o artyzmie i poczuciu piękna ówczesnych mistrzów.

W kościele Bożego Ciała garstka nasza dostąpiła łaski, dość niezwykłej ucałowania stopy św. Katarzyny, siedzącej w osobnej kaplicy w wspaniałym fotelu w drogocennych szatach, strojnych w brylanty i perły, błyszczące się przy migotliwym blasku niezrównanej ilości świateł, składających się tak ze świec jak i lampek. Święta ma na ustach znamię pocałunku, złożone jej kiedyś przez Chrystusa Pana w cudownem objawieniu. Wszystko to razem wziąwszy robi ogromne wrażenie czegoś nietylko świętego, ale i tajemniczego i niezrozumiałego. Twarz jej tak jak i świętego Serafina zczerniała, przypomina kolorem mumie egipskie.

Jedną z głównych osobliwości miasta jest niezaprzeczenie St. Sefano. Budynek ten składa się z siedmiu kaplic, czy kościołków, zupełnie odrębnych, połączonych z sobą w rozmaitych kierunkach idącemi wschodami i dwoma dziedzinczykami, których głównym urokiem są owe sycące oko harmonijne arkady rozmaite stylem i wysokością.

Jedną z owych siedmiu kaplic znajdującą się w podziemiach, podtrzymują kolumny pochodzące jeszcze z pogańskich czasów, ze świątyni Szisa, na której miejscu kaplica ta jest zbudowaną. W innej zwanej Atris di Pilato, najmniejszej z owych siedmiu jest ukrzyżowanie Francii.

Po chwilowym wypoczynku obiadowym, pewna część pielgrzymów poszła zwiedzać w dalszym ciągu miasto, inna udała się, z księdzem Surzyńskim, (który nie znał ani zmęczenia, ani chęci wypoczynku, tak bardzo ożywiony był pragnieniem pokazania swej gromadce co tylko było do widzenia,) na Monte della Guardia, dokąd prowadzą 3 kilometrowe arkady, otwierające widok na piękny, malowniczy i górzysty krajobraz. W kościele tym znajduje się obraz bizantyjski Matki Boskiej, przypisywany podobnie jak i nasz Częstochowski św. Łukaszowi. Widok, jaki mieliśmy wciąż przed oczyma, w zupełności wynagrodził zmęczenie. Z żalem wyjechaliśmy z Bolonii późnym wieczorem, idąc ostatni raz wspaniałemi arkadami, aż na sam dworzec. Wielkie schody, o dwóch skrzydłach, prawdziwie królewskie wiodące do miejskiego parku, świeciły w blasku latarń ulicznych błękitnem światłem. Nad niemi sterczące drzewa tajemniczo szumiały nad naszemi głowami.

*Loreto.*

IV.

Po wyjeździe z Bolonii noc ciemna nie pozwoliła nam widzieć z wagonu cudnych dolin włoskiej krainy, ale za to jakże szczodrze, jakże hojnie wynagrodził nam to ranek.

Loreto! Loreto! woła konduktor.

Czekające na nas dorożki, wijącą i krętą drogą niosły nas w górę coraz wyżej, coraz stromiej, aż przed nami na górze widzimy klasztor i kościół ogromny, wspaniały, obszerny, jak jakie starożytne zamczysko, strzegący okolicy i rozłożonej w dole osady.

W tem ktoś zawołał magiczne słowo: morze! Morze tam hen za nami, dość daleko a jednak zupełnie wyraźnie widzimy szafirowy, leciutko sfałdowany obszar wodny, nad którym z po za chmur powoli bardzo wysuwać zaczęło się słońce, jeszcze nie widoczne, a już działające. I zwolna wschód się oczerwienił szary — a potem jak mówi Słowacki, opisujący wschód słońca nad Salaminą, weszło ogromne słońce i stanęło. Po morzu zaczęły iść pasma fioletowe najrozmaitszych cieni, od ciemnego zupełnie do całkiem jasnego, a wszystkie niosły na sobie własną pozłotę. — Tymczasem w górze coraz wyraźniej, coraz ogromniejszy ukazywał się kościół i jego zabudowania. Z jednej strony szmat południowego morza, błyszczący złotem i szafirem, z drugiej olbrzymia góra i klasztor na niej — wśród tego szereg nieskończenie długi wiodących nas dorożek, a nad głowami naszemi jasny błękit nieba czysty i pogodny.

W samym środku obszernego kościoła stoi na zewnątrz otoczony rozmaitemi ozdobami z marmuru i kamienia, maleńki domek Matki Boskiej. Ściany tu nagie i zupełnie puste, to też dziwne wrażenie robi ta wspaniałość ołtarza, jaśniejącego niesłychanem bogactwem świateł. Msza wychodzi za mszą, kilku znanych księży miało także to szczęście odprawić tu nabożeństwo. Lecz nie wszyscy jednakże pielgrzymi razem mogli być tu obecni, szczupłość bowiem domku nie pozwoliła na to.

Tu można było nabywać wodę, loretańską, święcić dzwonki, pacierze różańce i miseczkę, na której jadał Pan Jezus, i rozmaitych innych dostępować łask, niedozwolonych jak tylko tym szczęśliwym, którzy mogli tu być osobiście.

Wyjazd z Loreto nastąpił około 9-tej z rana. Trzeba nam się było spieszyć, gdyż mieliśmy jeszcze tego samego dnia wstąpić do Asyżu, by pomodlić się u grobu św. Franciszka i zwiedzić jego różany ogródek, w którym doznał wiadomego cudu, zakwitnięcia cierni. W nocy mieliśmy stanąć w Rzymie.

Od Ancony przez całe pół godziny jechaliśmy tuż nad morzem mając je po prawej stronie. Była to prawdziwa rozkosz dla miłośników natury. To samo słońce, którego wschód widzieliśmy przy wjeździe do Loreto, świeciło nam i teraz, niewiadomy kłam obietnicy i zapowiedzi pogody. To też zapewne dzięki temu wielka liczba statków rybackich wypłynęła dnia tego na morze, upstrzone purpurowemi żaglami, cudownie odbijającemi od niezrównanego wód zwierciadła. Czółna pędzone lekkim wiatru powiewem sunęły dumnie, wspaniale i cicho tuż przed nami, budząc zachwyt i podziw. Fale biegły aż pod koła prawie wagonów, i odbijały znów od brzegu.

*Rzym.*

V.

Zupełnie niespodziewanie następnego zaraz ranka po przybyciu do Rzymu była audyencya u Papieża. Przedstawiał Pielgrzymkę oprócz księdza Surzyńskiego sam biskup Likowski w towarzystwie proboszcza Lewickiego.

Prowadzono nas, po rozdaniu niebieskich, legitymacyjnych biletów u św. Piotra, do Watykanu, wielkiemi szerokiemi schodami, przez niezrównaną ilość pięter do loggi oszklonych, cudownie pięknych, a zdobnych wspaniałemi freskami Rafaela. Tu złożyliśmy rzeczy a ustawiwszy się rzędami szliśmy znowu przez niezliczoną ilość sal i przedsionków.

Wszędzie gwardya papieska, cała w szkarłatną starożytnej formy, przybrana liberyą, bacznie śledziła czy wszyscy mają bilety audyencyjne, stemplowane podobnie jak bilety bankowe w wodne oznaki.

Opisać Watykan byłoby nadzwyczaj trudno. Co tam gobelinów zupełnie bez ceny, co adamaszków na ścianach, marmurów, i różnego rodzaju arcydzieł! Nie sposób wyliczać; dość powiedzieć, że najniezawodniej żaden z monarchów europejskich takiem bogactwem i przepychem poszczycić się nie może.

W salach przylegających do komnat papieskich ruch panował ogromny. Oficerowie gwardyi o twarzach greckich półbogów, piękni, zręczni i dystyngowani rozmawiali półgłosem oparci malowniczo o marmurowy kominek. Posuwając się wolno — zatrzymując od czasu do czasu znaleźliśmy się wreszcie przed Namiestnikiem Chrystusowym.

Siwy, skurczony staruszek, o niezmiernie łagodnym, idealnym wyrazie twarzy, i dużych oczach, w których tli inteligencya i siła woli, siedział na karmazynowym fotelu, zupełnie miękko. Jakiś służący czy duchowny, podawał przyklękającemu pielgrzymowi rękę Ojca świętego do pocałowania. Ojciec św. do każdego prawie przemawiał, odbierając zwłaszcza co do duchownych objaśniające informacye od księdza biskupa Likowskiego. Dla tych miał Ojciec św. specyalne względy, głaskał ich po twarzy, uśmiechał się i witał prawie serdecznie.

Przyjęcie wogóle całe miało zupełnie specyalny charakter, gdyż każdy, co się rzadko bardzo zdarza, dostępował szczęścia ucałowania ręki Ojca świętego. To też długo jeszcze po audyencyi, pod wspaniałemi kolumnami placu St. Piotra, garstka pielgrzymów rozmawiała o szczegółach przyjęcia i o tej niezwykłej łasce, za którą też w sercu wielką zachowamy wdzięczność dla tych, którzy swemi wpływami i staraniem nam to wyrobili.
O. K.

# Z TYGODNIA.

Na *półwyspie bałkańskim* w dalszym ciągu huczą strzały, pękają bomby dynamitowe, palą się wsie i miasta — a stara Europa zamyka oczy, zatyka uszy, ażeby nic z tego nie widzieć. Cóż bowiem znaczy, że jedno lub drugie mniejsze państewko sympatyzuje z nieszczęśliwą ludnością macedońską i pragnęłoby jej dopomódz? Żyjemy wprawdzie w chwili, w której ogromną potęgę przypisuje się opinii publicznej; lecz blichtr to, złudzenie nic więcej. W rzeczywistości potęgi tej wcale nie widać, a nie widać jej mianowicie w sprawach polityki zagranicznej. W tej dziedzinie w naszych czasach opinia zawsze jeszcze jest służką rządów, a co najmniej bardzo im podwładną. Przypomnimy sobie tylko owe wybuchy sympatyi dla Burów w całej Europie. Cóż one im pomogły? Jedno po drugiem mocarstwo umywało „ręce w niewinności" i spokojnie patrzało na to, jak tam daleko na południu ginął wolny naród. Aby już udowodnić, jak opinia jest zmienną wystarczy wskazać tylko na ostatnią wizytę króla *Edwarda* w Paryżu. Ta sama ludność, która przed kilku laty na rękach niemal nosiła *Kruegera*, dziś z zapałem wznosiła okrzyki na rzecz króla Anglii i Anglików.

Dopóki *rządy* mocarstw same nie nabiorą przekonania, że na Bałkanie zaczyna się źle dziać na dobre, dopóty opinia publiczna ani o włos nie zmieni sytuacyi.

A rządy mocarstw, jak już powiedzieliśmy, jeszcze tego przekonania nie nabrały. Jedno ogląda się na drugie, a nawet te dwa, które już coś działać zaczęły — *Austrya i Rosya*, na huk bomb dynamitowych nagle przystanęły w połowie drogi i czekają, co z tego wyniknie.

Trudniejszem też podobno zadaniem, niż zbadaniem przepastnych wnętrzy puszcz litewskich, jest zbadanie i zrozumienie arkanów dyplomatyczno-politycznych niektórych mocarstw. Weźmy np. *Rosyą*. Program Piotra, zwanego Wielkim, wyznacza wprawdzie Rosyi dwie główne drogi, jedną nad Bosfor, drugą nad ocean spokojny. Rząd rosyjski ma więc poniekąd wybor i naprzemiany też, raz posuwał się w jednym, to znów w drugim kierunku; ale żeby *dziś*, gdy na półwyspie bałkańskim wre jak w kotle, gdy tam lada chwila przyjść może do katastrofy, żeby w takiej chwili zamiast skupić wszystkie siły ku stronie Carogrodu, wszczynać nową burdę wojenną na *wschodzie Azyi* — to rzecz tak dziwna, iż umysł lajków politycznych zrozumieć jej nie może. A tak się stało! Rząd carski polecił obsadzić ponownie już pod presyą mocarstw opuszczone miasto chińskie *Niuczwang*, oprócz tego, jak gdyby rozmyślnie wtargnął do *Korei* i tam żgnął formalnie w gniazdo os.....

Odezwały się zaraz z głośnym protestem *Japonia, Anglia* i *Stany Zjednoczone* północnej Ameryki, Japonia dała nawet w Petersburgu do zrozumienia, że ewentualnie ponowne takie naruszenie granic Korei uważać będzie za „casus belli."

Na próżno też niektóre organa łamią sobie głowę, co mogło skłonić Rosyą do zawikłania się w tę nową awanturę na dalekim wschodzie, gdy tu, na bliższym rychło już może potrzebować skupienia wszystkich sił swoich? Czyżby tego wymagały rzeczywiście żywotne jej interesy? A może jest to znów jeden z tych licznych „błędów," które tak często popełniali rosyjscy mężowie stanu *niemieckiego* pochodzenia w chwilach, gdy w Europie potrzebna była *słowiańska* Rosya przeciw przewadze polityki i dyplomacyi niemieckiej? Stanowisko, jakie dziś zajęła wobec sprawy bałkańskiej, bądź co bądź nie przysporzy jej zwolenników wśród południowej słowiańszczyzny.

Co się zaś tyczy *Macedonii*, to tam położenie nie zmienione. Po Salonice przyszła kolej na miasto *Monastyr*, które również częściowo zburzono, przyczem Turcy wycięli w pień część ludności.

Po za tem nic się nie stało ważniejszego w polityce w ubiegłym tygodniu. Król *Edward* wrócił do Anglii, a *cesarz Wilhelm* do Niemiec i podczas gdy oni wypoczywają po trudach podróży i uroczystych przyjęć, mężowie stanu obu tych krajów obliczają bilans polityczny tych wizyt. Ten zaś, zdaje się, jest znacznie korzystniejszy dla Anglii niż dla Niemiec.

Jeżli bowiem wierzyć można niektórym pogłoskom — nie odniosły skutku usiłowania hr. Bülowa, aby Ojciec św. przyznał Niemcom prawo protektoratu nad katolikami na tureckim wschodzie, które dotychczas przysługuje Francyi.

Uderzyło też ogólnie, że podczas uczty w Kwirynale w Rzymie obaj monarchowie, tak niemiecki, jak i włoski — wbrew stałemu zwyczajowi nie wspomnieli ani słówkiem o *trzecim*, im obu „równie drogim" sprzymierzeńcu, o *Austryi i cesarzu austryackim*. Podejrzliwe dzienniki domyślają się z tego, że w trójprzymierzu nie wszystko dziś jest „w porządku," że mianowicie ostygł bardzo sojusz austryacko-włoski. I ten domysł nie jest bez pewnej racyi. Polityka włoska ściera się bowiem bezustannie z austryacką na półwyspie bałkańskim, niekiedy nawet przeciwieństwa przybierają charakter bardzo ostry.

W *Niemczech* wre w całej pełni walka wyborcza. Przedwczesnem jednak że byłoby, stawiać jej horoskopy — zwłaszcza, że braknie na razie wielkich haseł, które mogłyby porwać masy. Sprawa ceł i drożyzny chleba, oraz pogwałcenia wolności słowa w parlamencie, którą operują *socyalni demokraci*, należy już bądź co bądź do przeszłości i jest już nieodwołalnie ubita przez nową taryfę na długi szereg lat. Inne zaś stronnictwa oryginalnych haseł wogóle nie wydały. *Centrum* pragnie odzyskać dawniejszą swą lepszą sławę, straconą wskutek przyłożenia ręki do osławionej „reformy" regulaminu Izby, przez energiczne wysunięcie naprzód żądania, ażeby raz wreszcie usunięto resztę ustawy *antyjezuickiej*. Stronnictwa *konserwatywne i nacyonał-liberalne* starają się przekonać ogół, że czas najwyższy złamać groźną potęgę socyalnej-demokracyi. Wieści, jakoby pomiędzy konserwatystami, nacyonał - liberałami a *centrum* z jednej, zaś między stronnictwem wolnomyślnem a socyalną demokracyą z drugiej, miało przyjść do sojuszu na czas wyborów — nie sprawdziły się.

Każde stronnictwo walczy na własną rękę — a to pomnaża jeszcze chaos. Być może, że walka zaostrzy się jeszcze wskutek pogłosek, iż rząd zamierza *powiększyć znów armią lądową o dalsze 30,000 głów,* czyli dwubatalionowe dotychczas pułki zamienić na trzybatalionowe. To pewna, że pogłoski te są rządowi bardzo nie na rękę, tem bardziej, że zdradzają podobno naprawdę żądania, z jakiemi zamierzał wystąpić po wyborach.

Nadzwyczaj ciekawą wiadomość przynoszą sfery berlińskie a mianowicie, że sfery rządowe zajmują się kwestyą kto po Najprzew. ks. Arcybiskupie Stablewskim zasiądzie na tronie św. Wojciecha. Cesarz Wilhelm, wracając z Rzymu miał dla tego wstąpić do Monte Casino, iż znajduje się tam klasztor *OO. Benedyktynów a pomiędzy nimi upatrzył sobie rząd następcę naszego obecnego ks. Arcybiskupa i to z tej przyczyny, że Benedyktyni od wieków uchodzą „za kulturträgerów w duchu niemieckim.“* Myśl tę podsunął rządowi podobno pewien członek ministerstwa oświaty oraz — kilku centrowców sprzyjających rządowi w rodzaju Ballestrema, ks. Arenberga i ks. Dasbacha. Ile w tem prawdy — czas okaże.

W końcu zaznaczamy krótko, że obecny *namiestnik Galicyi hr. Piniński* ustępuje w połowie czerwca a miejsce jego obejmie *hr. Andrzej Potocki,* obecny marszałek, którego stanowisko zajmie zapewne hr. St. Badeni lub p. Dawid Abrahamowicz. W przyszłym numerze pomieścimy obszerny list naszego galicyjskiego współpracownika o hr. A. Potockim.

*K. O.*

## Przegląd prasy.

W Grudziądzu odbyło się dnia 6 bm. *walne zebranie delegatów na Prusy Zachodnie,* na którem ustanowiono następującą listę kandydatów na okręg

„1) *pucko-kartuzko-wejherowski — Roman Janta Połczyński;*

2) *chojnicko-tucholski — Leon Czarliński;*

3) człuchowsko-złotowski — dr. Roman Komierowski;

4) świecki — Julian Sas-Jaworski;

5) gdański miejski i wiejski — ks. dr. Wolszlegier;

6) sztumsko-kwidzyński — Leon Czarliński;

7) *kościersko - starogardzko - tczewski — Górski z Mirotek* (inteligentny gospodarz 200 morgowy);

8) chełmińsko-toruńsko-wąbrzeski — redaktor Jan Brejski;

9) brodnicko-grudziądzki — redaktor Wiktor Kulerski;

10) susko-lubawski — dr. Rzepnikowski;

11) olsztyńsko-reszelski (na Warmii) — Julian Sas-Jaworski;

12) bytowsko-miastkowsko-sławnowski (wschodnie Pomorze) — Roman Janta Połczyński;

14) malborski — ks. dr. Wolszlegier;

15) wałecki — dr. Roman Komierowski.“

Lista ta jest zobowiązującą dla wszystkich polskich wyborców.

Trzy okręgi uwydatnione w druku są zupełnie pewne. Nadto okręg grudziądzko-brodnicki będzie mógł p. Kulerski odbić Niemcom przy energicznej agitacyi. Pewne widoki zwycięstwa mają także — jak pisze *„Gazeta Tor.“* — kandydaci w okręgach toruńsko-chełmińsko-wąbrzeskim, susko-lubawskim i olsztyńsko-reszelskim tudzież świeckim i sztumsko-kwidzyńskim. Jednakże wszędzie Polacy powinni rozwinąć potężną agitacyę, aby powołać do urny wyborczej jak najliczniejsze zastępy Polaków, a mamy nadzieję, że w miejsce tylko *trzech* posłów z Prus Zachodnich wyślemy pięciu lub sześciu do parlamentu.

Na zebraniu głosowali delegaci za pomocą gałek przedewszystkiem nad kandydatami proponowanymi przez powiaty i to według tego — jak pisze „Dzien. Berl.“ — na którem miejscu i w ilu powiatach byli postawieni.

Na wniosek komitetu uchwalono także, co następuje, jak czytamy w *„Dzien. Berl.“*

„Na delegata wybrać tylko osobę, mieszkającą w powiecie.

Delegatowi zwraca na żądanie, koszta podróży kasa komitetu centralnego. Zapomóg z innych źródeł przyjmować nie wolno.

Kilka wniosków w sprawie zebrań przedwyborczych przekazano następnemu zjazdowi delegatów.

W miejsce pana Kulerskiego, który ustąpił z komitetu centralnego, został wybrany ks. prob. dr. Thokarski z Pogódek.

Była w końcu dyskusya o karności i uległości dla władz wyborczych. Ogólne było zdanie, że posłuszeństwo dla tych władz jest świętym obowiązkiem wszystkich wyborców. Dyskusya wykazała też, że nikt nie myślał na seryo o zrywaniu solidarności a w szczególności reprezentant „Gaz. Gr.“ oświadczył, że pismo to podda się uchwałom najwyższej władzy wyborczej i poprze poleconych przez nią kandydatów.“

*Ruch przedwyborczy* znacznie się ożywił. Gazety zapowiadają cały szereg zebrań tak w Księstwie, w Prusach jak na obczyźnie. Niektóre wiece przeszły dość niepostrzeżenie i wobec nawału zebrań prasa nie mogła rozpisywać się o wszystkich. W jednym atoli wypadku prasa konserwatywna zbyła milczeniem dwa wiece *pokątnie* urządzone, by nie obudzić czujności ludowców.

O dwóch tych wiecach: w *Koźminie* i w *Krotoszynie,* zkąd posłuje ks. prał. *Jażdżewski,* przyniósł tylko wiadomość „Goniec Wielk.“ i dowiedzieliśmy się, że urządzono te wiece w sposób dotąd *niepraktykowany, cichaczem* jakby urządzanie wieca było zdrożnym czynem, z którym kryć się trzeba. Ważną tą sprawą zajmujemy się na innem miejscu.

Na zebraniu w *Krotoszynie* zdawał sprawę z czynności poselskich ks. prał. *Jażdżewski* i według korespondencyi *„Gońca Wielk.“* między innemi tak mówił:

„Nie chcę wysławiać tu prac moich, lecz opowiem ogólnikowo, co zdziałało Koło polskie prze 5 lat i jakie było jego działanie. Mówią niektórzy i piszą niektóre pisma, że Koło polskie dzieli się na dwie partye, to jest na ugodowców i ludowców. Co te dwie partye znaczą, sam rzeczywiście nie wiem. (?) Ugodowcem może być na przykład ten, kto kupuje dom, ziemię lub coś podobnego i godzi się! Takie znaczenie ma słowo „ugodowiec.“

(To ciekawe pojęcie, obmyślane na niezgorsze mydlenie! Ks. poseł nie uważa za ugodowców tych, którzy ze rządem szachrują, za rządowymi projektami, za pomnożeniem wojska i floty, cłami itp. wbrew woli ludu głosują! Przyp. koresp.)

Co zaś do nazwy „ludowiec“, to ma to być zapewne człowiek, który chce dobra swych rodaków i ludu. Lecz pytam, czyż to który z naszych posłów nie pragnie tego? (!)

Precz więc z hasłem „ludowiec“ lub „ugodowiec“, którem podburzają lud niektóre „piśmidła“ (!), n. p. taka „Praca“, „Goniec Wielkopolski“ lub „Dzien. Berliński!“ My musimy być jednością silni, a wtenczas możemy coś zdziałać. Ostrzegam, aby takim kłamstwom (!?!) nikt nie wierzył i aby nikt tego nie czytał!“

(Oczywiście! Byłby to raj dla szachrajów politycznych, którzy szukają swego interesu, może wyższej godności, tytułu, korzyści itp., choćby im przyszło lud polski jak barany pozaprzedawać! Red.)

W toku przemówienia usprawiedliwiał się ks. prał. dlaczego przy dyskusyi w sprawie polskiej rozmawiał z ministrami i dalej, jak czytamy w *„Gońcu W.“* usprawiedliwiał

„swego kolegę ks. Radziwiłła, który był na balu dworskim w Poznaniu. Taki wielki pan, który ma wielkie znaczenie od pradziada na dworze cesarskim, nie mógł przecież nie przyjąć zaproszenia!...

Pewien wyborca z Kobylina zganił Komitet wyborczy za to, że bardzo mało starał się uwiadomić wyborców o dzisiejszym wiecu, że o zebraniu w gazetach wzmianki nie było.

Na to odpowiedział przewodniczący ks. prob. Wojciechowski, że *sawiado-*

*mienie w gazetach ogłoszono, a mianowicie w „Dzien. Pozn.“, „Kuryerze Pozn. i w „Przew. kat.“*

Tu zabrał głos jeden z młodszych księży i upomniał się o to, ażeby zebrania wyborcze ogłaszane bywały we wszystkich polskich gazetach, jak w „Gońcu“, „Oręd.“ „Pracy.““

Z Krotoszyniaków nikt głosu nie zabrał, nikt nie zdobył się na należytą odprawę — pisze korespondent i ciągnie:

„Rzeczywiście, tylko w Krotoszynie może się zdarzyć coś podobnego, że się odbywa tajny wiec, bez ogłoszenia go publicznie w gazetach ludowych, aby świadomych obywateli w błąd wprowadzić.

Sala była co prawda zapełniona, lecz tylko ludem wiejskim, sprowadzonym przez „dobrodziejów“, którzy gdy powiedzą temu ludowi, że jest ciepło, wierzy im, choćby mu od zimna zęby dzwoniły.

W ten sposób podstępny zdołano nielegalnie i sztucznie przeprowadzić kandydaturę ks. Jażdzewskiego.

Coś podobnego chyba w Krotoszyszynie stać się może. Każą ludowi obrać posłem człowieka, który się sprzeciwia woli ludu, który wbrew interesom polskiego ludu żebrze o łaskę u ministrów, przymila się do nich, głosuje za wojskiem, za flotą, za cłami!“

A w końcu tak pisze:

„Zebranie krotoszyńskie było nielegalne już choćby z tego względu, że było tajne, że go komitet nie ogłosił w pismach najwięcej tutaj czytanych. Dlatego Krotoszyniacy powinni założyć przeciwko takiemu obejściu protest do Prow. Komitetu wyborczego, powinni domagać się zwołania legalnego zebrania powiatowego, bo nie chcemy i nie możemy być „bydłem wyborczem“, bo chcemy mieć posłem męża, któryby znał nasze stosunki i czuł wspólnie z nami. Takim mężem na powiaty krotoszyński i koźmiński byłby p. Kubacki z Pleszewa.

Krotoszyniacy! Zabierzcie głos, otrząśnijcie się z wygody, pokażcie, że jesteście świadomymi obywatelami, których zdobi odwaga. Zaprotestujcie co rychlej!“

Zarówno w *Krotoszynie* jak w *Koźminie* urządzono wiece — *w dzień powszedni*, dlatego — jak zauważa *„Dzien. Berl.“* — aby jaknajmniej przybyć mogło wyborców.

„Stwierdza to pośrednio nawet korespondent „Dzien. Pozn.“, utyskując, że z obywatelstwa wiejskiego zaledwie dwóch panów przybyło.“

Na atak ze strony księdza J. odpowiada *„Dziennik Berl.“* w tych słowach:

„Ks. prał. J. nie zdoła nam pokazać ani jednego artykułu „Dzien. Berl.“ od 22 września począwszy, „podburzającego“ lud hasłem „ludowiec“ i „ugodowiec.“ Walczenie słowem „ugodowiec“ uważamy za przestarzałe, bo dziś o ugodowcach w dawniejszym sensie wogóle mowy być nie może. Natomiast mamy pewien gatunek neougodowców i za typ takiego neougodowca uważamy właśnie posła Jażdzewskiego, który przejął politykę dawnych przez niego strąconych ugodowców i na swój sposób ją praktykuje, nawet w chwili walnej walki posłów polskich z rządem flirtując z ministrami i w pełnej izbie i na wieczorkach ministeryalnych bez upoważnienia i wiedzy Koła.

Na to postępowanie ks. dr. Jażdzewkiego *już dawno sarkają, nawet właśni jego zwolennicy, a my daliśmy tylko wyraz temu, co tysiące czują i po cichu sobie mówią.* Nie z jakiej osobistej chęci do niego, albo z chęci oczerniania go, nie, broń Boże! Takiej chęci nie mamy, przeciwnie uznajemy w całej pełni *dawniejsze* zasługi posła Jażdzewskiego. *Że dzisiejsze postępowanie jego na arenie parlamentarnej nie cieszy się już tem uznaniem, wina to jego własna.*“

Co się tyczy obrony prezesa Koła ze strony ks. prał. Jażdżewskiego *„Dzien. Berl.“* pisze:

„My sądzimy przeciwnie, że wyższem od znaczenia, jakiego książę R. zażywa na dworze cesarskim, jest znaczenie, jakie on ma w społeczeństwie polskiem jako prezes Koła parlamentarnego.

Piastując najwyższą godność w społeczeństwie *powinien wiedzieć, co mu jest winien.*

Zresztą są sposoby na niekorzystanie z zaproszeń.

Przecież i na wiec swoich wyborców w Ostrowie książę R. się nie stawił, bo „nagłe przeszkody“ zatrzymały go w Paryżu!“

Na obu zebraniach stawiano posła Jażdżewskiego na pierwszem miejscu kandydatów, a więc — jak pisze *„Dzien. Berl.* —

„Los kandydatury ks. J. zależy teraz od walnego zebrania delegatów.

*Wiadomo, że przed 5 laty przeszedł na walnem zebraniu delegatów większością tylko 1 głosu.* I dla tego ks. J. sam do niedawna mówił swoim kolegom w Kole, *że nie będzie kandydował, bo nie chce się narazić na odrzucenie jego kandydatury przez delegatów.*

*Czyżby się odtąd jego szanse poprawiły?*“

*„Postęp“* zaś przychodzi do innej konkluzyi:

„Komitety wyborcze tu i owdzie urządzają zebrania w dzień powszedni, chociaż mogą dogodniej dla wyborców uczynić to w niedzielę. W powszedni dzień urządzono n. p. między innemi w Krotoszynie. Przeciwko temu chcą wyborcy zaprotestować, my ich zachęcamy usilnie, gdyż widocznie w Krotoszynie było to z wyrachowaniem politycznem obmyślonem.

Niech wyborcy powiatu krotoszyńskiego tej sprawy nie zaśpią i *żądają zwołania jeszcze jednego zebrania w dzień świąteczny.* Niech wyborcy wszędzie śmiało i otwarcie postępują i żądają swego prawa, a *ociężałe komitety należy powoływać do energiczniejszej działalności.*“

Wycieczki przeciwko *prasie ludowej* są wymownym dowodem żywotności tejże i nie uchybiają jej lecz przeciwnie pochlebiają. Nietylko na wiecach w okręgu krotoszyńsko-koźmińskim, lecz także *we Lwówku* skorzystało dwóch obywateli, by wyspowiadać się z swych żalów na prasę, ale wycieczki ich były tak mało inteligentne, że nie możemy się niemi zajmować. Dość że na *wiecu we Lwówku przyjęto listę komitetu: Cegielski, dr. Skarzyński i dr. Niegolewski.*

Natomiast w *Obornikach* ludowcy obalili listę komitetu, stawiającą na kandydata p. hr. Kwileckiego, i zebranie postawiło na kandydata tak jak w Szamotułach *hr. Macieja Mielżyńskiego* oraz pp. I. Mycielskiego i dr. A. Chłapowskiego.

*W Ostrzeszowie* przeszła lista: *ks. F. Radziwiłł, dr. L. Mizerski i ks. prob. Gorski.*

W *Witkowie* przyjęto kandydata gnieźnieńskiego Leona Grabskiego. W *Gostyniu* zaś stawiono na pierwszem miejscu listy dotychczasowego posła: księcia *Z. Czartoryskiego.*

*Sprawami górnośląskiemi* zajmujemy się na innem miejscu. Tu nadmieniamy tylko, iż *„Dzien. Pozn.* donosi, iż

„w *Gliwicach* na zebraniu przedwyborczem zwołanem przez znanego germanizatora ks. Russka, przemawiał hr. Ballestrem stojąc na stanowisku centrum, twierdzi, że każdy katolik bez naruszenia swych uczuć narodowych należeć może do centrum. O polskiej sprawie *nie wspomniał były marszałek ani słowa.*“

Broni go natomiast „Katolik“ w sprawie owego słynnego „bicia Polaków po pysku,“ z czego wnosimy, iż „Katolik“ wbrew zaprzeczeniom rzeczywiście zobowiązał się popierać czynnie kandydaturę tego wroga polskości.. Smutne!

*Red.*

# Głosy od przyjaciół.

*Z miasta* d. 5 maja 1903.

*(Szanujmy geniusz!)*

W tych dniach wpadł mi w rękę numer 95-ty „Dziennika Poznańskiego,“ w którym p. patron Jackowski rzuca zasłużone gromy na głowę dra Lewakowskiego — i odtąd trapią mię wątpliwości.

Nie mogę już zaliczać siebie do młodzieży, a choćbym i chciał, zaprzeczyłaby temu coraz obfitsza sieć siwych nitek, ukazująca się na włosach, ale

zajmuje mię żywo wszystko, co ofiarowuje się młodzieży „jako dewizę przyszłego obywatelskiego życia.“ P. patron zaś ofiarował młodzieży, jako ów symboliczny wiązarek następne słowa:

„Nie tumanić szumnie krasno
Ale twardo, ale jasno,
Śród narodu swego stać,
Wzorem służyć, myślą rwać
Świecić czynu tarczą własną.“

I to właśnie jest początek i dręczące źródło mych wątpliwości, bo jako autor powyższych słów podany jest J. Słowacki.

W istocie i Juliusz Słowacki pisał na podobny temat w sławnym wierszu: Do autora trzech psalmów, ale pisał inaczej, a słowa odnośne brzmią:

„Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
*Ale twardo, ale jasno*
*Śród narodu swego stać,*
*Myślą bić, chorągwie rwać,*
*Świecić czynu tarczą własną!*

I biedzę się z myślami, co spowodowało p. patrona Jackowskiego ofiarować naszej młodzieży fałszywy kamień w miejsce „kałakuckiej perły“ Słowackiego, i nie mogę znaleść rozwiązania. Że chciał poprawić nieśmiertelnego tytana naszej poezyi, nie wydaje się prawdopodobnem i zanadto przypominałoby bajkę o Ikarze, o której, jak na złość ów poemat potrąca. Prawdopodobniejsze byłoby już przypuszczenie, że powyższy cytat pochodzi z jakiegoś mętnego źródła: wiadomo, że poemat: Do autora trzech psalmów, z którego wydaniem zwlekał poeta przez wzgląd na swego przyjaciela po lirze, przechodził różne koleje i że wydano go z przeróżnemi błędami wbrew woli autora, jeśli się nie mylę, w Poznaniu.

W takim razie należałoby żałować, że właśnie z takiego źródła czerpał pełną ręką p. patron, chcąc obdarzyć naszą młodzież. Szukałem w obfitującem w warjanty wydaniu Biegeleisena wersyi, podanej przez J. Jackowskiego — ale jej tam nie ma.

Nie wydaje się też prawdopodobnem, aby poeta tej miary jak Słowacki miał pisać kiedykolwiek: „nie tumanić szumnie krasno“ itp. Wolę już włożyć powyższą próbę poetycznego natchnienia na karb p. patrona Jackowskiego, jakkolwiek i w takim razie braknie odpowiedzi na pytanie, czemu za poronione płody czyjegoś pióra ma odpowiadać — Słowacki?

Sprawa jest w istocie ciemna.

*Niemir.*

***Gniezno***, dnia 4-go maja 1903.

*(Wiec przedwyborczy.)*

Stósownie do ogłoszenia odbył się tu wiec przedwyborczy wczoraj, to jest w niedzielę, w dniu rocznicy wiekopomnej Konstytucyi 3-go maja. — Obszerna sala hotelu europejskiego wypełniła się krótko po czwartej narodem po brzegi same. — Przewodniczył wiecowi p. rzecznik Karpiński. Po załatwieniu wstępnych formalności, udzielonym został głos p. posłowi Głębockiemu, który w potoczystej, a interesującej mowie, zdał sprawę z pięcioletniej pracy (raczej walki) Koła polskiego w parlamencie niemieckim. W ciągu tego przemówienia usłyszeliśmy kilka zwrotów i zdań, które ukazały nam szanownego p. posła w prawdziwej jego wartości! To też sala rozbrzmiewała wciąż rozgłośnym aplauzem i brawem! Obyśmy takich wszystkich mieli!

Po tem sprawozdaniu wystąpił pan Paliński, redak. „Lecha,“ z obszerną, wyczerpującą a jasną nauką o wyborach. Należy mu się za to uznanie. — Następnie domagał się głosu jakiś p. Wirbiński, socyalista, czemu zgromadzenie w przeważnej większości się sprzeciwiało. Dopiero po przemówieniu p. posła Głębockiego, radzącego (i słusznie!) udzielić mu głosu, dopuszczony został tenże do słowa. Lecz teraz ujął się on honorem, mówiąc: Z waszego zachowania się poznałem was, i dlatego z udzielonego mi głosu teraz korzystam. Głównie przeszkodziło mu pewnie jednak energiczne powtórzenie przez p. przewodniczącego, iż obecnie wolno mu tylko przemawiać do punktu porządku obrad, to jest do nauki o wyborach. — Po tem intermezzo przystąpiono do wyboru trzech kandydatów poselskich. Komitet powiatowy proponował pp.: Grabskiego (posła sejm.), J. Mycielskiego i Sobeckiego (sędziego). Przy rozprawie nad pierwszym wszczęła się dość ożywiona dysputa, ponieważ pan dr. Ulatowski nie życzył sobie dwóch posłów w jednej osobie.

Dopiero przemówienie p. posła Głębockiego załagodziło sprawę i p. Grabski został na pierwszem miejscu. Drugi kandydat przeszedł bez dyskusyi. O trzeciego rozpoczęła się znów walka, w której tenże upadł. Słuszne uwagi p. dr. Ulatowskiego przemogły; zwyciężyła jego propozycya i kandydatem został p. dr. F. Niegolewski z Poznania. Nawiasowo dodaję jeszcze, iż proponowani byli na posłów także pp. rzecznik Karpiński i dr. Ulatowski, lecz ci rezygnowali z zaszczytu tego. — Tu znów odezwał się ów pan Wirbiński w namiętnych słowach, w których jasno przebijał się duch socyalizmu.

Przemawiał także jeden z okolicznych duchownych (ks. J.) o odwadze cywilnej przy agitacyi wyborczej, dopatrzeniu się swych praw przy wyborach samych. Dziwił mnie nadzwyczaj silny głos mówcy tego; oddalony byłem od niego może na 10 kroków, lecz ucho ledwie znieść mogło silny napór organ powietrza! — Następnie powzięto rezolucyą zredagowaną i uzasadnioną w przemowie przez p. *Karpińskiego*, ażeby posłowie głosowali przeciw wydatkom militarnym i przeciw „zabawkom do mordowania ludzi.“ Dalej przemówił jeszcze p. poseł Głębocki, pytając się zgromadzenia, jakich przemówień w Berlinie życzą sobie od posłów swych, czy grzecznych, łagodnych, pobłażliwych, czy też stanowczych, gromkich, bezwzględnych?... „Bezwzględnych! gromkich! tak jak p. poseł przemawiał!“ — rozlegało się po sali.

Po przemówieniu p. posła Grabskiego, zakończył wiec pan poseł Głębocki, przepiękną, serdeczną i na wskroś patryotyczną mową. W całem też tego słowa znaczeniu zasłużył na frenetyczne okrzyki i oklaski, na cześć jego podniesione! P. poseł Głębocki posiada taki mir, iż kilka jego słów wystarczały, aby powstające rozdwojenie czy niezgodę natychmiast zażegnać i uspokoić! Takich więcej!

Przebieg wieca był wogóle dość spokojny i do okoliczności zastósowany, a przedewszystkiem, po wyjaśnieniu odnośnej sprawy, zgodny. — Wiec trwał aż do kwadrans na ósmą wieczorem.

*Sz. Ostoja.*

# ODEZWA.

Spisy wyborcze do parlamentu niemieckiego wyłożone będą do przeglądania *od 18 do 25 maja.*

Polecamy jeszcze raz Komitetom powiatowym bardzo usilnie, żeby wcześnie wyborców do przeglądania spisów wyborczych zawezwały i meżów zaufania we wyko-

naniu tego ważnego obowiązku dopilnowały. Należy też podać do powszechnej wiadomości, że w dniu wyborów tylko umieszczony w spisie głosować może, a dalej, że spisy wyborcze wolno przeglądać *każdemu wyborcy* i w tej czynności *innych wyręczać*. Przeglądający winien baczną uwagę zwracać na to, czy imiona i nazwiska są *poprawnie* zapisane. Niedokładności w tym względzie mogą w dniu wyborów spowodować utratę niejednego głosu.

Komitet Prowincyonalny, śledząc dotychczasowy ruch wyborczy, stwierdza z wielkiem zadowoleniem, że wyborcy w zebraniach żywy i liczny biorą udział, żałuje jednak, że dla szczupłości lokali, w których zebrania się odbywają, nie wszędzie wszyscy na zebranie przybyli wyborcy mogą być obecni na sali i głosować. Dlatego prosimy, żeby komitety powiatowe zebrania wyborcze urządzały w możliwie jak największych lokalach i starały się o to, żeby w głosowaniu nad kandydatami poselskimi wszyscy na zebranie przybyli wyborcy o ile możności brali udział.

Przypominamy, że walne zebranie delegatów odbędzie się w Poznaniu dnia 26-go maja i że przed tym terminem protokóły z odbytych walnych zebrań powiatowych winny być przysłane Komitetowi Prowincyonalnemu na ręce sekretarza.

Poznań, dnia 6-go maja 1903.
*Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.*




Rys. L. Illinicza.

„Nasza ławeczka."

Do wiersza Or-ota.

 

# Dział illustrowany



† J. E. ks. Biskup Henryk Kossowski.

†

## J. E. ks. Biskup Henryk Kossowski.

Żałobna wiadomość rozeszła się dnia 1-go b. m. po Warszawie. J. E. ks. Biskup-sufragan dyecezyi kujawsko-kaliskiej, ks. Henryk Piotr Dołęga Kossowski, doktór św. teologii, biskup serreński, zmarł na probostwie kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Lesznie, gdzie przebywał w gościnie u swego przyjaciela z lat dawnych, ks. kanonika Niewiarowskiego.

Zmarły dostojnik Kościoła urodził się 21-go stycznia 1828 roku; kształcił się w Wrocławiu, w Lesznie i w Berlinie; w roku 1853 wstąpił do seminaryum duchownego w Kamieńcu Podolskim. Skończywszy chlubnie nauki tego seminaryum, studyował w Akademii duchownej w Petersburgu. Dnia 23-go maja 1857 roku nastąpiło wyświęcenie księdza Kossowskiego, który niebawem został profesorem w seminaryum płockiem. W roku 1860 osiadł ks. Kossowski jako katecheta w Dorpacie. Arcybiskup Warszawski, ks. Feliński, powołał w roku 1863 ks. Kossowskiego na stanowisko rektora b. Akademii duchownej; na tem stanowisku wytrwał ks. Kossowski do chwili zamknięcia i zniesienia Akademii w roku 1867. Wykładał w Akademii warszawskiej ks. Kossowski egzegezę hebrajską i dowiódł gruntownej wiedzy i krasomówczego talentu.

W roku 1870 otrzymał ks. Kossowski probostwo parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Lesznie, gdzie mu było przeznaczonem zakończyć życie. W roku 1884 otrzymał proboszcz z Leszna tytuł biskupa serreńskiego *in patribus infidelium* i przeniesiony został do Płocka na stanowisko wikaryusza kapituły i biskupa - sufragana. Na tem stanowisku pozostał przez lat sześć. Dnia 30-go grudnia 1900 roku przeniesiono ks. Biskupa Kossowskiego na sufraganię włocławską w dyecezyi kujawsko - kaliskiej, na której gorliwie wyręczał chorego ś. p. Biskupa Aleksandra Bereśniewicza.

W zmarłym traci społeczeństwo nasze kapłana niezwykle uczonego, odznaczającego się wielkim rozumem i nieocenionemi zaletami serca, głęboko przywiązanego do Kościoła, oraz dzielnego obywatela kraju. W Dorpacie, w Warszawie, w Płocku i we Włocławku pozyskał ks. Biskup Kossowski cześć i miłość wszystkich, którzy się do niego mieli sposobność zbliżyć; to też żal za nim będzie głęboki i szczery. W piśmiennictwie teologicznem zgon ks. Biskupa Kossowskiego wywołuje poważną szczerbę; szereg cennych prac z zakresu naukowo-religijnego, pisanych po polsku i w językach obcych, oraz z zakresu historycznego pomieszczonych w Encyklopedyi kościelnej, przekaże nazwisko ks. Biskupa Kossowskiego trwałej i zasłużonej pamięci.

Niechaj odpoczywa w spokoju a światło wiekuiste niechaj Mu świeci!

*W.*







# *Marya Leszczyńska.*

Tłum niewiast, co błyszczały i błyszczą ko-
[roną,
Pochłonęły w niepamięć wieki, i pochłoną;
Te będą celem wiecznej wdzięczności
[i chwały,
Które cnotami swemi zajaśnieć umiały.

*Feliński.*

Piękną jest cnota, choć ukryta i sobą tylko ozdobna, lecz jako drogi kamień, co acz sam przez się jaśnieje, w bogatej i kształtnej oprawie wolnego nabiera blasku, tak wydatniejszemi stają się piękne zalety osoby, wyniesionej nad inne, aby jako pochodnia blaskiem swoim przyświecała i zachęcała do naśladowania. Życie Maryi Leszczyńskiej należy więcej do francuzkiej niż naszej historyi; chlubnie jest jednakowoż wspomnieć, iż córka jednego z obywateli polskich, któremu naród po dwakroć oddawał koronę, i który jak na jego nieszczęście był przymuszony wrócić ją przemocy, dzieliła tron z monarchą potężnego narodu, powołana nań, nie z innych przyczyn, jak dla znanych światu cnót i szlachetności serca.

Marya Leszczyńska urodziła się w W. Ks. Poznańskiem w Baszkowie, wsi dziedzicznej ojca swojego, 23. Czerw. 1703 ze Stanisława Leszczyńskiego, króla i Katarzyny Opalińskiej. Dziecinne lata przepędziła wśród niebezpieczeństw i trwogi, które z ojcem, miotanym od zawziętego losu, dzieliła. Kiedy Stanisław porzucił rodzinną ziemię, aby w obcych krajach szukać schronienia, towarzyszyła mu na wygnaniu jego cała rodzina. Dopóki Karól XII. miał nadzieję przywiedzenia zamysłów swoich do skutku, wyznaczył Leszczyńskiemu na mieszkanie Księstwo Dwóch mostów z dość znacznemi dochodami; lecz gdy zawiedziony w swych nadziejach, przy szturmie Friedrichshall w Norwegii, poległ bohatera śmiercią, przeniósł się Stanisław do Francyi, i osiadł za pozwoleniem rządu w Weissenburgu, w Alzacyi. Traktat Szwecyi z Polską, zapewnił mu wkrótce tytuł króla, zwrócenie dóbr dziedzicznych, uczciwe choć mierne dochody, i zupełne dla wszystkich stronników jego przebaczenie.



Król Stanisław Leszczyński jako czuły ojciec pielęgnował troskliwie córkę Maryę, gdy zimna mogiła pokryła starsze jego dziecię, a cnotliwa małżonka i Moszczeńska, mistrzyni młodej królewnej, dopomagały mu gorliwie w uskutecznieniu jego zamiarów. Zapatrując się ciągle na piękne rodziców przykłady, wcześnie już pokochała Marya Boga i cnotę, a miłość ta kierowała wszystkiemi jej sprawami. Na tej zasadzie rozwijając władze swe umysłowe, pociechą była dla rodziców, osładzała im chwile gorzkie wygnania, a wszyscy, co ją znali, uwielbiali piękne jej zalety, i dziwili się postępom w naukach.

Gdy oddalona od wielkiego świata, jako pączek róży w ukryciu rozwijała się, zwrócił na nią uwagę swoją Ludwik XV. król francuzki i wyprawiwszy powiernika swego kardynała do Rohan biskupa Strasburskiego, prosił Stanisława o rękę córki. Niechciał wierzyć Leszczyński słowom kardynała, aż przekonał się z wręczonego sobie listu, od rządzcy państwa księcia de Bourbon, a naradziwszy się z małżonką i uległą zawsze córką, zezwolił na żądanie króla. W sześć miesięcy potem, wyprawił Ludwik XV. do Stanisława uroczyste



Marya Leszczyńska.

poselstwo, na czele którego był książę d'Antin, prosząc publicznie o rękę Maryi.

Nie mało zadziwiło to dwory Europy, gdy gruchnęła wszędzie wieść, iż król francuzki wzgardziwszy ręką infantki hiszpańskiej, zaślubia królewnę polską, bez bogactw, i nie słynącą pięknością; lecz ktokolwiek ją znał bliżej, przyznać musiał, iż szlachetne jej przymioty, znane w całej Alzacyi, światło i dobroczynność, godną ją czyniły tronu.

14-go Sierpnia 1725 nastąpił ślub, przy którym Ludwika XV. zastępował książę Orleanu. Po odebranem błogosławieństwie rodziców, wyjechała Marya do stolicy; wszędzie przyjmowano ją z największemi oklaskami, wszędzie też ujmowała łagodnością swoją serca otaczających ją osób. W Fontainebleau odbyło się wesele, z zwykłym owym czasom przepychem: ujrzała się Marya na dworze wielkim, najwykwintniejszym, otoczona ludźmi nieznanymi, którym, podług przestróg ojca, nie zawsze ufać miała; wzywała przeto pomocy nieba, aby wypełniała przyjęte na siebie trudne obowiązki, i zasięgała co do postępowania swego, rady doświadczonego przyjaciela, jakiego miała zawsze w ojcu. Na jej żądanie skreślił Stanisław rady swe dla córki, i przesłał je Maryi: czytała je często królowa, stósowała się do nich w całem swem postępowaniu, a od czasu wstąpienia na tron francuzki, do ostatniej chwili życia, wzorem była cnót najwyższych, tak, iż Francuzi od początku dobrą królową ją nazwali. W każdem jej ruszeniu była godność bez nadętości i dumy; udzielając się drugim, nigdy nie poważała siebie, i zdając się mało wymagać uszanowania, otrzymywała wszędzie jak największe. Była Marya małżonką wzorową, matką tkliwą i pilną, zatrudnioną wychowaniem swych dzieci, w które wpajała prawdziwą pobożność: królową pobłażającą, mądrą i dobroczynną, nieprzyjaciółką intrygi i opiekunką uczonych ludzi, słowem stała się na tronie przykładem cnót chrześciańskich. Przybywającym do Francyi Polakom, nie tylko łatwy przystęp, ale w każdem zdarzeniu pomoc i wsparcie dawała. Gdziekolwiek się ukazała, cisnął się do niej lud, aby oglądał dobrą swoją królowę: potrzebującym pomocy nigdy nie odmawiała; i gdy razu jednego spowiednik i jałmużnik jej ks. Trąbczyński wystawiał, iż dochody nie wystarczą na takie wydatki, ona mu odpowiedziała: „cały majątek matki, niejestże dziatek własnością?“ — Do spraw politycznych w kraju, nigdy nie wpływała: kochając nauki, całe poświęcała staranie, aby utrzymać ten ogień, którym tlał najświetniejszy dla literatury francuzkiej wiek Ludwika XIV. Z boleścią serca patrzała Marya na szerzącą się bezbożność i zepsucie obyczajów; dwór zdawał się hasło do nich dawać, a wielu pisarzy rozsiewało w dziełach swoich szkodliwe maxymy i zdania. Niemogąc temu zaradzić, czyniła co mogła, żeby im do siebie i do swoich przystępu niedozwolić. Podobało się opatrzności dotknąć ją niejednem nieszczęściem: musiała bowiem patrzeć, jak własny jej małżonek słaby i uwiedziony namowami zauszników i pochlebców, puścił się na występki i rozpustę. Zniosła cios ten Marya z cierpliwością, godną prawdziwej chrześcianki, i wznosiła modły swe do Boga, szukała ulgi strapionemu sercu na łonie ojca, który po stracie żony i matki, do ostatniej chwili, trzy razy co tydzień do Maryi pisywał, a w pięknej porze po kilka tygodni przy niej bawił. Umiała także Marya słodzić sobie smutne chwile zatrudnieniem godnem siebie; z młodu albowiem przywykła nie trawić czasu napróżno: sztuce malarskiej, muzyce, czytaniu pożytecznych dzieł, robotom damskim codziennie nieco czasu poświęcając. Kościoły stolicy Francyi przechowują dotąd rąk jej prace: różę z muszelek morskich, przez siebie zrobioną, przesłała także Lyceum Poznańskiemu z napisem własnoręcznym: dla Lyceum Poznańskiego, i przeznaczeniem sumy 60000 czerwonych złotych na wystawienie gmachu szkolnego; lecz chciały nieprzyjaźne losy, aby upominkiem tym cnotliwej królowej nie cieszył się Poznań: suma atoli nie została wypłaconą, a róża znikła w roku 1815 z Muzeum fizycznego, gdzie przechowywaną była.

Największą pociechę znajdowała królowa w dzieciach. Siedmioro z nich, sześć córek i syn wychowało się pomyślnie: cztery córki zostały oddane do klasztoru, dwie z synem kształciły się pod okiem matki, odpowiadając godnie jej staraniom i miłości. Doszedł królewicz lat młodzieńca i zaślubił so-



*. . . . . Odtąd panu wierzę,*
*Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze*
*Za pana powodzenie zawsze przed oczami*
*Stał pan z temi dużemi, błyszczącemi łzami...*
*. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .*
*Panny mówiły, że ja jestem zakochana:*
*Jużci, jeżeli kocham, to już chyba Pana....*
*(Pan Tadeusz.)*

bie Maryą Józefę, córkę Augusta III., króla polskiego: cieszyła się Marya z połączenia tego; na łonie wnuków spodziewała się w podeszłym wieku używać słodyczy, gdy śmierć ukochanego syna i ojca, czułe matki i córki zakrwawiła serce. Od chwili tej widocznie słabnąć zaczęła i rozstała się z tym światem 24. Czerwca 1768, w 65 roku życia. Opłakiwała Francya zgon wczesny Maryi, a lud dla znanej pobożności życia, świętą ją nazwał.

Nie była Marya piękną, niskiego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, miała jednak wiele powabów; albowiem szlachetna jej dusza malowała się w spojrzeniu, a nadobny uśmiech, dowcip i słodycz charakteru nadawały jej powabu. Wśród zepsutego dworu Francyi, zachowała czystość obyczajów, pobożność odznaczającą rodaczki swoje i moc w nieszczęściu. Szacował naród jej cnoty i podziwiał je, lubił towarzyskie przymioty, które pociągały ku niej tę, powszednią życzliwość, jakiej nikt ani lepiej wzbudzać, ani z niej sowiciej się wypłacać nie umiał jak Marya Leszczyńska.

***

# Nasza ławeczka.

(Wspomnienie).
(Do illustracyi albumowej).

*W starym ogrodzie*
*Ławeczka stała,*
*A nad nią lipa*
*Od kwiecia biała.*
*Ach, tam mi zeszły*
*Najsłodsze dnie!,..*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*Oczy kochane,*
*Czarne, płomienne,*
*Patrzyły na mnie,*
*Tęsknotą senne,*
*To zachodziły*
*W zadumy mgle,..*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*Z ręką w mej ręce,*
*Z łonem przy łonie,*
*Z sercem, co wielką*
*Miłością płonie,*
*Chwile nam biegły*
*W tęczowym śnie...*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię..,*

*Ach ileż przysiąg*
*W uszach mi dzwoni!*
*Ileż słyszałem*
*W owej ustroni!*
*To dzisiaj serce*
*Tęsknotą tchnie,.,*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*Wśród dni zimowych*
*Śnieżnej zawiei,*
*Gdyśmy marzyli*
*Pełni nadziei,*
*Choć wkoło wicher*
*Zagładą dmie...*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*Mróz, co ściął lodem*
*Rzeki, strumienie,*
*Zwalczyły naszych*
*Uczuć płomienie*
*I żyła miłość!*
*Choć wszystko mrze..,*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*A teraz wiosna*
*Chodzi po świecie,*
*Ale zamarło*
*Serc naszych kwiecie,*
*I krew zastyga*
*I dusza schnie...*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię...*

*I tak mi tęskno*
*W uroczym maju,*
*Po moim dawnym*
*Tęczowym kraju,*
*Po śnie, żywota,*
*Ostatnim śnie,..*
*Ławeczko nasza*
*Żegnam cię.*

*Or-ot.*

# Z albumu współczesnych
## pisarzy polskich.

Wybitne bez zaprzeczenia miejsce między współczesnymi powieściopisarzami polskimi zajmuje Wł. St. Reymont.

Urodził się dnia 6-go maja 1868 roku we wsi Kobiele-Wielkie, w guberni Piotrowskiej z ojca Józefa i matki Antoniny z Kopesyńskich. Pierwsze lat dziesięć spędził na wsi, a następnie oddany został do szkół. Po opuszczeniu szkoły był praktykantem rolniczym, dwukrotnie próbował zostać aktorem, kilka razy pełnił służbę na koleji, a nawet zapisał się na nowicyat do Paulinów w Częstochowie. W r. 1893 wydrukował pierwszą swoją nowelę p. t. *Wigilia Bożego Narodzenia,* w piśmie krakowskiem „Myśl,“ za nią poszła nowela *Śmierć* drukowana w „Głosie“ i od tej chwili Reymont został literatem, zamieszczał utwory swoje w „Głosie,“ „Prawdzie,“ „Ateneum,“ „Tygodniku Ilustrowanym,“ „Bibliotece Warszawskiej.“ Pierwszą rzeczą, wydaną oddzielnie była *Pielgrzymka do Jasnej Góry* (1895). W r. 1896 wyszła powieść większa p. t. *Komedyantka,* w roku następnym *Fermenty* i tom nowel p. t. *Spotkanie,* w 1898 dwutomowa powieść na tle stosunków łódzkich p. t. *Ziemia obiecana.* W roku 1899 wyszła w wydaniu ilustrowanem nowela p. t. *Lili.* Większość utworów Reymonta tłumaczono na język françuski, niemiecki, czeski i rosyjski. W ostatnim czasie wyszedł z pod jego pióra cykl znakomitych powieści pod ogólnym tytułem *Życie.*



**Władysław St. Reymont.** (Rysunek Leona Wyczółkowskiego).

Pierwsza z nich jest wykończona i drukuje się w „Tygodniku Ilustrowanym“ p. t. *Chłopi*.

Reymont uległ przed kilku laty podczas katastrofy kolejowej pod Warszawą ciężkiemu skaleczeniu, atoli po długiej chorobie wyleczył się dość szczęśliwie.

*—ski.*

## Z życia zwierząt.

(Do illustracyi.)

Jak różne zwierzęta, nawet dzikie, może człowiek oswoić, tak też zwierzęta różne same między sobą przyzwyczajają się do towarzyskości i obcowania, nieraz do przyjaźni zażyłej. Mówimy zwykle o ludziach, nienawidzących się: „X. z N. żyje jak pies z kotem,“ ale słowa te w życiu zwierząt odkrywają nam nieraz odwrotną stronę medalu, stronę wielkiej przyjaźni psa z kotem, ba! nawet w towarzystwie tak dobranem, jak zwierzę nierogate, szczur i kruk i do tego jeszcze przy pełnej misce. Nie ma co mówić — osobliwi ci biesiadnicy czworonożni z dwunożnym krukiem ucztują w najzupełniejszej zgodzie i harmonii. Illustracya nasza, zamieszczona na stronie 587-ej obrazuje nam tę wyjątkową, a w każdym razie ciekawą biesiadę. Druga illustracya, zamieszczona na stronie 588-ej obrazuje nam jednocześnie inną scenę także ciekawą z życia zwierząt, mianowicie dwóch czworonożnych przyjaciół: charta i lisa.

*—ski.*

## Syn zdrajcy.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Epizod z powstania 1863 r.

W dusznym skwarze sierpniowego popołudnia posuwał się zwolna powstańczy oddział Habicha drogą od Wolbromia do Ojcowa. W oddziale tym jako prosty szeregowiec postępował hr. Aleksander Krukowiecki. Brudną pamięć odziedziczył młody Krukowiecki po swoim ojcu. Niesforny jenerał, zawistny intrygant, w końcu wyraźny niemal zdrajca, nie dla pieniędzy może, ale przez słabość ducha, Jan Krukowiecki był przedmiotem wzgardy i potępienia u całego narodu za to, że jako wódz i naczelnik rządu poddał Warszawę w 1831 roku Moskalom wtedy, gdy na rozkazy jego czekało kilkadziesiąt tysięcy polskiego wojska, gotowego bić się z wrogiem do ostatka.

Syn jego zmazywał hańbę ojca w powstańczych szeregach. Oddział Habicha zbliżał się właśnie do Glanowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział pod dowództwem księcia Szachowskiego, liczący blisko półtora tysiąca piechoty, pięćset kawaleryi i dwie sotnie kozaków.

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i licho uzbrojone. Twarz dowódzcy zasępiła się na chwilę ciężką troską i głębokim namysłem.

Nagle odwrócił się do nieruchomych, zamarłych w oczekiwaniu powstańczych szeregów.

„Bracia!“ zawołał donośnie — Bracia! Potrzebuję dziesięciu ochotników. Zostaną oni w Glanowie i będą powstrzymywać Moskali, opierać się w dziesięciu całej ich sile do ostatniego tchnienia. Reszta oddziału uchodzić musi pod ochronę lasów.“ Umilkł na chwilę, wodząc bystremi oczyma po twarzach wsłuchanych w jego słowa powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich niewidzialny wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

„Kto na ochotnika?“

„Ja!“ ozwało się grzmotem trzysta piersi, cały oddział rzucił się naprzód potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska!“ zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał długo nie milknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki. „Pozwól mi pójść, naczelniku!“ zwrócił się prezentując broń do Habicha.

„Dobrze! Obejmiesz dowództwo nad całą dziesiątką“ zgodził się Habich.

Wybrano dziesięciu najlepszych strzelców, szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Glanowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszów.

Piętrowy murowany dwór glanowski frontem zwrócony na drogę, którą mieli przeciągnąć Moskale, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obronny dla powstańców.

Zatarasowano mocne żelazem okute drzwi, powstańcy ustawili się koło okien.

Krukowiecki, słynny w całym oddziale jako najlepszy strzelec, kazał dwom szeregowcom stanąć za sobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania.

Ostrożnie i zwolna poczęli wsuwać się przez bramę kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła, ich małe skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza.

Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia. Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki. „Szkoda prochu na to paskudztwo“ — szepnął pogardliwie, Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski. „Spostrzegli naszych“ — domyślili się powstańcy. Raz jeszcze obejrzeli ładownice i karabiny, zdala słychać już było głuchy łoskot zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty weszły na podwórze , spokojnym, miarowym krokiem jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko.

„Pal!“ zakomenderował półgłosem Krukowiecki.

Huknęły strzały.

Jak piorunem rażony zwalił się z konia jadący przodem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię, przednie szeregi skłębiły się na chwilę, potem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypywać się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu.

Napad był tak niespodziany, że w całym moskiewskim oddziale zapanował na chwilę zamęt; ozwały się krzyki komendy, oficerowie poczęli płazować cofających się żołnierzy.

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu“ szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa, Moskale cofnęli się z podwórza unosząc rannych

Upamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dokoła, obsypując go zdala gradem karabinowych strzałów. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturmu, ziemia zajęczała pod ciężkiemi sto-



Osobliwi biesiadnicy.

pami żołdaków. Z okien dworu huknęły strzały — dziesięciu najbliższych padło trupem. Krukowiecki chwytał raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z jego ręki strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę.

Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturmu Moskali legło pokotem, inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać.

Szturm powtórzył się jeszcze raz drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do boju coraz niechętniej, coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury dworu, z okien którego wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnem okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

Z okien dworu widać było, że większa połowa oddziału piechoty z całą kawaleryą i kozakami poszła w pogoń za Habichem.

„Zawszeć nasi uszli już kawał drogi“ — pocieszali się oblężeni, kontenci, że niedarmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry, od dachu.

„Podpalili nas!“ wykrzyknął któryś; widmo straszliwych męczarni konania w zaduchu dymu, wśród żrących płomieni, stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartem półkolem zbliżać się poczęli do dworu.

Z szeregów ich wystąpił oficer powiewając białą chustką i zawołał donośnie podchodząc tuż pod okna: „Polacy! wzywam was poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy moich. Oddacie mi tylko waszą broń, a potem car najmiłościwszy rozporządzi waszym losem. Powtarzam, za chwilę zginiecie!“

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się przez okno.

„Polak umiera, ale nie poddaje się wrogowi nigdy“ — rzucił krótko i twardo

W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła Krukowieckiemu kaszkiet. „Zdrajcy!“ syknął Krukowiecki podnosząc karabin do ramienia. Moskiewski żołnierz zachwiał się i runął wypuszczając z rąk karabin z dymiącą jeszcze po zdradzieckim strzale lufą.

Huknęły znowu karabiny gęstą nieustającą salwą, żołdactwo naciera co raz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne były już coraz rzadsze.

Brakło im naboi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanią za konających.

Słowa modlitwy odbijały się ponuro przy huku karabinów, wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym i spokojnym „Zmiłuj się nad nami!“

Potem ze wszystkich rozmodlonych piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski na pogrzebach śpiewa: „O, Jezu mój, o, Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!“

Na pogrzebie własnym śpiewali powstańcy — czerwone iskry poczęły już sypać się im na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten pogrzebowy śpiew zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojną, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać. Śpiewał z innymi.

„Co to?“ zawołał nagle, jakby ocknięty z letargu. „Moskale uciekają! Odsiecz! Zbawienie!“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród mroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki czerwone odblaski płomieni pełzały po pobojowisku, zapalały iskry w mosiężnych guzikach mundurów, przeglądały się w karabinowych lufach. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też i odsieczy ani śladu.

Z za węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się zwolna ku powstańcom.

— Kto tam? — zapytał Krukowiecki.

— To ja, Grzymała, karbowy — ozwał się głos nieśmiały.

Z pomroki wychyliła się płowa czupryna chłopa, odblaski ognia zapaliły w jego szarych oczach płomyki chytrej radości.

— Nie wiecie, dlaczego uciekli Moskale? — zagadnął Krukowiecki.

— A ze strachu — odrzekł Grzymała.

— Dobrze, ale przed kim? Gdzież powstańcy?

— Nie było tu nijakich powstańców — uśmiechnął się Grzela — ja tak ino zwiodłem Rusków. Patrzę, że te juchy usadziły się na panów, a tu dwór cały w ogniu, myślę ja sobie — poczekajta; Tak lecę do starszego i gadam: „Jaśnie wielmożny panie generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali.“

„No a gdzież Polacy?“ przerwał Krukowiecki rozglądając się dokoła.

„A od lasu rychtyg wielga siła wali“ kończył Grzymała „tylko że nie powstańców jeno owiec i bydła a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało.“

Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na podwórzu rozległo.

Zapomnieli już, że przed chwilą dysponowali się na śmierć, śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopa i tchórzliwości Moskali.

— Ale tęgo ich panowie nakruszyli, dziwił się Grzymała obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy, było ich sześćdziesiąt i kilka, połowa blisko legła przed oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

Syn zdrajcy zapłacił za hańbę swego ojca. *P. K.*

## ZOCHOM.

(15-ty maja.)

Nie będę życzył, by was kochano..
Bo któż to Zośki nie kocha?!
Pierwszem promyczkiem w miłosne rano
Była każdemu z nas... Zocha!
Nie będę radził, byście kochały...
Co po doradczym tym głosie?
Wszak z dawien dawna wie już świat cały,
Że nikt nie kocha nad... Zosie!
Nie będę głosił waszej urody,
Robił porównań do... wiochny,
Boć Semiramis słynne ogrody
Jednej nie warte są... Zochny!
Nie będę wielbił waszej dobroci,
Łezki, co liczko wam rosi,
Sto słońc niedoli tak nie wyzłoci,
Jak litościwa dłoń Zosi!
Cóż więc mam życzyć? Moje wy! nasze!



Czworonożni przyjaciele.

Jakiemi uczcić rymami?
Hej! hej! w rodzinne patrzę poddasze,
Zostańcie, Zośki — Zośkami!
Zostańcie sobą sercem i duszą,
Z piersią, co zawsze coś kocha,
Czy zorze świecą, czy łzy gdzie prószą,
Niech Zocha wspomni: jam Zocha!
Niechaj was strzeże ten dźwięk serdeczny,
Imię złotego pokłosia!
Czy niebo chmurne, czy świt słoneczny,
Zosiu, pamiętaj, żeś Zosia!
Miejże Zosine, Zosiu, kochanie,
Czy słonko gaśnie, czy grzeje!
Zosiną dobroć, Zosi wytrwanie,
Zosiną wiarę, nadzieję!
Kochaj, jak Zosia w ranek majowy,
Wierz Zosi wiarą z kamienia!
Bądź, Zosiu — Zosią od stóp do głowy,
Bądź Zosiu, godną imienia!

*El.*

(„Z majowych dni.“)

# Z teatru.

*„Monna Vanna“* — sztuka w 3-ch aktach Maurycego Maeterlincka.

Przypuszczam, że wyznawcy sztuki czystej przyjęli ostatnie utwory głośnego belgijskiego modernisty z pewnem rozczarowaniem, bo zda się jakby autor „księżniczki Maleny“ i „Intruza“ odchodził od swego ja. Pierwotnie w myśl Pawła Verlaine'a, który zaleca: „la nuance, pas la couleur, seulement la nuance,“ ostrzegając, iż „tout le reste est litterature“ — Maeterlinck wykreślał z swej twórczości wszystko, co nazwalibyśmy literaturą, i służył wyłącznie sztuce, rozumiejąc pod tem mianem nastrój wywołany odruchowymi przebłyskami uczuć maryonetkowych postaci — bezsilnych, bladych, przegaszonych przez nie nazwaną mistyczną siłę. I zadowalał się, oblekając widza w obłok oczekiwania czegoś groźnego, grając monotonnymi dźwiękami delikatnie na strunach jego duszy i przeszywając go dreszczem. Lecz w dramacie „Pelleas i Melisande“ i jeszcze więcej w „Monnie Vannie“ — zeszedł do literatury, wynurzył się z obłocznej, tajemniczej ciemni snów, przepojonej subtelnymi odcieniami, w krainę poezyi, zbliżył się do realności. Zawierając kompromis z „literaturą,“ autor zyskał na popularności i romantyczna baśń, jakby zaczerpnięta z noweli Boccacia, nęci szerokie masy miękkością, liryzmem, wonią egzotycznej poezyi.

W Pizie, oblężonej przez wojska florentyńskie — głód i rozpacz. Nie ma ratunku, gdy nagle ojciec wodza fortecy, sędziwy Colonna, przynosi z obozu nieprzyjaciela promień nadziei. Obwieszcza miastu, że rycerz wojenny dowodzący wojskami nieprzyjacielskiemi, Prinzivalle dostarczy Pizie żywności i amunicyi, jeźli piękna żona dowódzcy pizańskiego, Giovanna, uda się o zmierzchu do jego namiotu naga, osłonięta tylko płaszczem. Mąż ulega pod naporem zgłodniałego tłumu i zgadza się na życzenia Vanny, gotowej się poświęcić dla ludu. Wbrew jego oczekiwaniu Prinzivalle nie wyzyskuje sytuacyi, bo — kocha Vannę.

Obraz jej przechował od lat dziecięcych w piersi. Nie chce więc mieć w niej kupionego narzędzia swej chuci, lecz pragnie przedewszystkiem jej — miłości. Dwie pokrewne dusze oddziałują na siebie wzajemnie, dwa umysły strzelające na szczyty rojeń erotycznych bratają się w harmonii. Lecz podstępni Florenczycy zagrażają życiu Prinzivalla, więc zakochany Bretończyk kryje się z Vanną do Pizy. I tu wszakże śmierć zagraża Prinzivallowi ze strony trawionego zazdrością męża, ale Vanna ratuje ukochanego, odbierając klucze wiezienia i — ucieka z nim. Miłość zwycięża — miłość, która jest leitmoti'vem udramatyzowanej baśni.

W dramacie autora, nie wierzącego w wolną wolę, nie ma winy ani ekspiacyi. Ludzie jego to — „ślepcy“, każda postać zaklęta w swe zaczarowane koło, zarówno oryginalnie poczęty Marco Colonna jak syn jego, jak romantyczny Prinzivalle i arcykobieca Vanna. Zwłaszcza w rysunku bohaterki Maeterlinck zaznaczył dobitnie, iż krokami jej kieruje jakaś przepotężna, mistyczna moc iż życie jest snem, bo stary Colonna — mający w sztuce rolę rezonera filozoficznego — mówi jej w końcu: zbudź się, moja córko.

Według mego zapatrywania reżyser winien w tym duchu wystawić sztukę, a więc zacierać stronę realną a podnosić poetycką do najwyższego złudzenia, iż wszystko to jest snem. Szczególnie scena zenitowa w obozie powinna nosić cechę wybitnie klasyczną a artystka, odtwarzająca Vannę, stonować grę swą jak najwięcej, unikając skrupulatnie wszelkich jaskrawości czy to w ruchach czy w głosie. Wyobrażam sobie Vannę pełną wstydu a głównie trwogi przed nieznajomym, podobno sędziwym wodzem, — trwogi ustępującej miejsca przyjemnemu zdziwieniu, z którego później jak nić z kłębka wylania się cała gama coraz silniejszych tonów sercowych. Ruchy Vanny — powłóczyste, klasyczne, głos śpiewny, spokojny, twarz odźwierciadlająca subtelnie całą ewolucyę sercową. Nie na tem koniec trudności, jakiemi literalnie jeży się rola Vanny. W scenach z mężem słowa Vanny stoją w sprzeczności z jej uczuciami, więc grą mięśni licowych i giestykalacyą może tylko artystka zdradzić widzowi prawdę. Pani Sznage, lubująca się w dużych syntetycznych rysach, nie odtworzyła tej postaci, całej w półtonach i półcieniach, dość subtelnie i jednolicie. W pierwszym akcie nie była zrozumiałą, w drugim obok szczęśliwych momentów miała nieszczęśliwe jaskrawości. Natomiast w akcie trzecim podniosła znacznie swą kreacyę a dobre warunki zewnętrzne przyczyniły się także niemało do dobrego ogólnego wrażenia. Część winy za niedostatki sceny miłosnej spada na pana Wiślańskiego, który jako młody artysta nie podołał również niełatwej roli, stworzonej dla rutynowanego amanta bohaterskiego. Nie uwydatnił n. p. zachwytu, jaki pada na Prinzivalla w chwili, gdy upragniona, w snach wypieszczona Vanna ukazuje się jego oczom — cudna w kształtach, niepokalana w aureoli kobiecego piękna. W zachwycie tym nadziemskim rozwierają się, gasną ognie pożądań zmysłowych, rodzi się cześć niby dla bogini i wielkiego pragnienia wzajemności poświęcenia i podniebnych wzlotów erotycznych. Zachwyt ten trzyma go w swej mocy tak, iż jak owi „ślepcy“ idący za psem — przewodnikiem gdzieś w tajnie lasu, postępuje nieświadom niebezpieczeństwa ni świata za głosem swej pani.

Aby scena ta zrobiła odpowiednie wrażeenie, musi być stylowo graną, dyalog odczutym, sharmonizowanym i oddeklamowanym w duchu poezyi Schillera. P. Wiślański — dał nam ładną, lecz bladą podobiznę rycerza Wenery, w akcie trzecim był bez wyrazu, — biernym statystą.

P. Andruszewski zużytkował doskonale swój piękny organ w niemniej trudnej roli Colonny i, grając z przejęciem, zasłużył na uznanie, chociaż trema odebrała mu spokój. P. Czerniak — aktor rutynowany i sumienny, na którym można zawsze polegać — poprawną stworzył postać starego Colonny ale zbanalizował ją.

Dekoracye ładne i wyćwiczony „lud“ podnosiły dodatnie wrażenie zewnętrzne poematu.

*Roman Rola.*

# KRONIKA.

Jest kilka ważnych spraw, które warto omówić obszernie, lecz że je trzeba obmówić obszernie, a ramy mej kroniki na to nie starczą, lekko i pobieżnie je tylko poruszę. Ważną kwestyą miejscową, że tak powiem, jest sprawa *Domu Przemysłowego*. Niefortunnie przedwczesnem kupnem zaczęta, niefortunnie dalej prowadzona, w podnieceniu wywołanem głośno brzmiącemi hasłami, zabagniona jest bardzo i musi się skończyć albo apelem do znanej ofiarności społeczeństwa naszego, albo też likwidacyą, skutkiem której przepadnie dużo grosza polskiego.

Nie szkoda byłoby tego grosza, gdyby cel zamierzony był dopięty, gdyby ten tak zwany „Dom Przemysłowy‟ służył celom przemysłu, gdyby była owa tak pożądana wielka sala dla polskich zebrań, wystaw, koncertów, zabaw ludowych. Tego wszystkiego jednakże nie ma i trudno się nam też będzie tego doczekać!

Jedynym rezultatem akcy[illegible] dzonej w początkach z[illegible], prowa[illegible] agitacyi, jest kawia[illegible] wielką forsą otwarta dla ws[illegible]nia i restauracya, nak nie m[illegible]szystkich, w której jednia j[illegible]a niebezpieczeństwa usłyszenia [illegible]kiej hakatystycznej *bezczelności*.

Sprawa dziś stanęła tak, że albo znowu trzeba będzie zebrać sporo grosza na pokrycie najróżniejszych błędów, albo trzeba będzie wynaleźć kroiowego dobroczyńcę, który sutym datkiem pokryje nierozwagę, nieopatrzność i nieumiejętność osób, które wzięły się do rzeczy niedorosłszy zadaniu. Drugą sprawą ogólniejszego znaczenia, to wybory na Śląsku. Sprawa nie przedstawia się wcale świetnie. Rzecz dobrze rozpoczęta, poczyna zupełnie niepomyślny brać obrót z powodu uporu i zacietrzewienia „Katolika,‟ który nie chce w żaden sposób uznać faktu rozbudzonego ruchu narodowego na Górnym Śląsku. „Katolik‟ miał tyle sposobności wydobycia się z pod wpływów niemieckich i zajęcia stanowiska odpowiadającego dawnym jego wielkim zasługom, a z żadnej z nich nie skorzystał. Szkoda! Wielka szkoda!

Dzieje osądzą postępowanie „Katolika‟ — a sąd korzystnie dla niego wypaść nie może.

A tymczasem w przyrodzie maj rozwinął się z całą potęgą świetności świeżych barw. Nie trzeba być malarzem, ani poetą, aby ocenić przepyszną grę barw, jaką mieni się i gra w słonecznych blaskach cała przyroda.

Jest to jakby pyszna symfonia, co roku grana i co roku budząca w nas nowy zachwyt.

Zieleń i zieleń, kwiaty i kwiaty, lecz ile odcieni w zieleni, ile barw w tych kwiatach. Najpyszniejszy szmaragd łanów żytnich, obok jasno zielonych młodych traw! A w gajach i lasach ile odmian tej samej wiosennej barwy, ciemne, matowe, złocisto zielone szarawe i jakby modre kolory wywołują w zestawieniu wrażenia i nastroje, których żaden malarz oddać nie potrafi.

Dotąd maj nie zawiódł nadziei, ani lubowników przyrody, ani rolnika. Oby pozostał równie łaskawym do końca, bo ten tyle przez poetów opiewany maj, miewa czasami niemniejsze kaprysy, jak poprzednik i sąsiad jego kwiecień, znany grymaśnik.

W maju kończy się w tym roku sezon teatralny. Przybytek naszej muzy dramatycznej opustoszeje. Wiem, że drużyna nasza artystyczna krótko po zamknięciu sezonu udaje się „na trawę...‟ Życze[illegible] naszym artystom wszelkiego p[illegible]wodzenia — a więc i laurów i su[illegible]ych dochodów.

Drużyna artystyczna, występująca w ciągu tego sezonu, to, z wyjątkiem kilku więcej rutynowanych artystów i artystek, siły młode. Lecz widać zdolne, bo w stosunkowo krótkim czasie umiały się wyszkolić i zgrać pod wprawną dyrekcyą znakomitego kierownika naszego teatru p. *Rygera*.

Jestem więc przekonany, że artystyczna nasza drużyna znajdzie uznanie i aplauz na prowincyi. Być może, że będę mógł donieść w jednej z następnych kronik o powodzeniu naszych artystów na prowincyi.

*Alfa.*

# Wiadomości.

— **Wiec przedwyborczy** odbędzie się w Pogorzeli w niedzielę d. 17 maja b. r. o godz. 2-giej po poł. na sali p. Banaszkiewicza. Na porządku obrad sprawozdanie poselskie i nauka o wyborach. O liczny udział prosi

Komitet wyborczy powiatowy.

— **Walne zebranie** przedwyborcze na powiat Grodziski — odbędzie się w niedzielę dnia 17-go b. m. o godzinie 4-tej po poł. w Grodzisku na sali p. Wielewicza.

Komitet.

— **Wiec przedwyborczy** w Kostrzynie odbędzie się w niedzielę, 17-go maja r. b., na sali p. Kietzmanna, o godz. 4-tej po południu, ponieważ policya nie zgodziła się na odbycie wieca w Strzelnicy.

Porządek dzienny:

1. Zagajenie i wybór przewodniczącego.
2. Nauka o wyborach.
3. Przemówienie posła p. Głębockiego.
4. Wolne głosy.

Pomiędzy uczestników wieca rozdawane będą broszury „Nauka o wyborach.“

Komitet.

— **Spisy wyborcze** uprawnionych do wyborów parlamentarnych obywateli wyłożone będą w Poznaniu od 18 do 25 maja w starym ratuszu w sali B. na I piętrze. Przeglądać je można od godziny 8 do 1 przed południem i od 3 do 6 po południu, nawet w niedziele i w święto Wniebowstąpienia Pańskiego.

Spisy w tym czasie wyłożone także będą we wszystkich miejscowościach w całych Niemczech bądź to na magistracie lub ratuszu, bądź też w pomieszkaniu sołtysa lub wójta.

Zachęcamy obywateli tak naszego grodu jak też wszystkich miejscowości w dzielnicach polskich do jak najpilniejszego i najsumienniejszego przeglądania spisów wyborców, gdyż od tego zależnym jest wynik wyborów.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 16-go b. m. ujrzymy na scenie naszej niezwykłą nowość „Na dnie życia“ Maksyma Gorkiego. Utwór ten dramatyczny jest pięknem dziełem genialnego poety. Głównym motywem sztuki jest tęsknota autora za wolnością i czystością...

W niedzielę dnia 17-go b. m. wieczorem po raz drugi „Na dnie życia.“

Przedstawienia od dnia 1-go b. m. rozpoczynają się o godz. 8-ej.

— **Z Wystawy obrazów.** Na listę osób, posiadających roczne rodzinne bilety Pozn. Wyst. Obrazów zapisało się już wiele osób z miasta i z prowincyi. Osobom tym przysługuje prawo wolnego wejścia na Wystawę, jak również osoba posiadająca roczny bilet, otrzymuje w końcu roku premium pod postacią biustu Mickiewicza, Sienkiewicza lub Słowackiego. Prócz tego rozlosowanych będzie kilka oryginalnych prac współczesnych artystów.

— **Pan Władysław Specht**, syn ogólnie szanowanego państwa Janostwa Spechtów, złożył przed tutejszą izbą rzemieślniczą bardzo chlubnie egzamin na majstra puszkarskiego. Mamy nadzieję, że p. Władysław Specht potrafi fabrykę broni, której jest współwłaścicielem, nie tylko utrzymać na tej wyżynie, na jakiej się dzięki pracy i zabiegom ojca jego p. Jana Spechta znajduje, ale że nadto z czasem ją jeszcze powiększy. Szczęść Boże!

— **Poznańskie Bractwo strzeleckie** obchodzić będzie od 14 do 19 lipca roku bieżącego 650-letni jubileusz istnienia. Historya Bractwa wykazuje, że zawiązane zostało w 13 wieku. Przez kilka wieków strzelnica znajdowała się obok kościoła Bożego Ciała. Dopiero od lat 57 strzelanie odbywa się na Miasteczku. Z dawniejszych czasów przechowano tylko kilka protokółów z 15, 16 i 17 wieku oraz dwa dokumenty w języku łacińskim z lat 1537 i 1554. Bractwo posiada kilka starożytnych puharów. Obecnie królem kurkowym jest mistrz rzeźnicki p. Żurkiewicz. Bractwo liczy 247 członków, a przewodniczącym jest od wielu lat p. Jan Specht, Polak, współwłaściciel zakładu puszkarskiego,

ojciec wyżej wspomnianego pana Władysława Spechta.

— „Lutnia.“ Przypominamy Szanownej Publiczności, że koncert „Lutni“ odbędzie się w niedzielę d. 17 b. m. o godz. 8 wieczorem na wielkiej sali Lamberta i radzimy zaopatrzyć się wcześnie w bilety u znanej firmy A. Rose dla wybrania najlepszych miejsc.

— Ślub. W Mchach w pięknie w zieleń i kwiaty przystrojonym kościele parafialnym pobłogosławiony został dnia 28-go kwietnia związek małżeński pomiędzy panną Stefanią Stocówną, jedynaczką p. Teodozyi z Jaraczewskich Stocowej z Krotoszyszyna a panem Mieczysławem Czajkowskim, właścicielem księgarni z Warszawy.

Aktu ślubnego dopełnił brat cioteczny panny młodej, miejscowy proboszcz ks. Wiśniewski, w asystencyi kuzyna młodej panny, ks. prob. Sypniewskiego z Ruska i ks. prob. Zmury z Chwałkowa, Echausta z Książa, Gregorowicza z Benic i Rosochowicza z Sobiałkowa, który ostatni przyjaciel domu państwa Stoców, śliczną i odpowiednią do uroczystości ślubnej miał przemowę od ołtarza do nowożeńców, jak po chrześcijańsku święty stan małżeński pojąć należy.

Po dokonanym obrzędzie ślubnym podejmował państwo młodych, najbliższą rodzinę oraz całą drużynę ślubną ks. prob. Wiśniewski ze staropolską gościnnością na probostwie. Telegramów i powinszowań z kraju i z zagranicy nadeszło przeszło 100, prawie wyłącznie kościuszkowskich. Młodej parze „Szczęść Boże!“

— Z miasta. (Wspomnienie pośmiertne). Dnia 30 z. m. zmarł po krótkich cierpieniach znany w szerokich kołach obywatel-destylator, ś. p. Karol Domagalski. Był to zacny człowiek, o złotem sercu. Każdemu chętnie i bezinteresownie służył radą i otwartą ręką; jako obywatel umiał uczynnością i uprzejmością zjednać sobie szacunek, a komu był przyjacielem i doradzcą, to już z wylanem sercem. Ś. p. Karol wszelkie krzyże, które Bóg na niego zsyłał, znosił z odwagą i zawsze stawiał im mężnie czoło. Zbolałej rodzinie serdeczne współczucie po stracie męża i ojca zasyła J. St.

## *Zmarli.*

† Ś. p. *ks. Władysław Stryjakowski*, penitencyarz archikatedralny, były dziekan dekanatu św. Piotra i Pawła, dnia 8-go b. m. w Gnieźnie. Zmarły urodził się 1833 r. Przez wiele lat był proboszczem w Łopiennie, gdzie cichą, skromną pracą na ambonie, w konfesyonale i na polu literackiem dużo się zasłużył.

† Ś. p. *Witold hr. Dąmbski*, przeżywszy 59 lat, dnia 5-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Nepomucen Szperliński*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu (Jeżycach), przeżywszy lat 60.

† Ś. p. *Walenty Hofmannn* dnia 5-go b. m. w Poznaniu, w 47 roku życia.

† S. p. *Aleksander Prawdzic Zaleski*, ojciec księżnej Maryi Zdzisławowej Czartoryskiej, dnia 9-go b .m. w 78-ym roku życia w Starym Sielcu pod Jutrosinem.

## Wiadomości literackie.

— „Quo Vadis?“ Treść zeszytu 1-go wychodzącego pod tą nazwą w Poznaniu miesięcznika jest następująca:

Motyw. — Quo Vadis Borussia christiana? — Ludy Europy brońcie swych skarbów najświętszych. Wiersz. — J. E. minister hrabia Rheinbaben ma głos. — Justus. Adoracya niezasłużona. — Fałszowanie historyi, skutki nieznajomości dziejów. — Skrzynka do listów: a) korespondencye redakcyi, b) odpowiedzi z grona Czytelników. W dodatku ekonomicznym: Sprawy okowiciane. Konkursy firm kupieckich.

Właścicielem i wydawcą jest p. Tad. Poraj-Swinarski w Wągrówcu. Czasopismo „Quo Vadis?“ zapisane jest w rejestrze pism cesarskich poczt niemieckich: Nachtr. 5. II. poln. Nr. 111a der Zeitungspreisliste. Cena abonamentowa kwartalna 1,40 mrk. Cena pojedyńczego numeru 60 fen.

— „Z majowych dni.“ Pod tym tytułem opuścił świeżo prasę tomik bardzo pięknych wierszy i śpiewek sympatycznego i cenionego współczesnego pieśniarza warszawskiego Ela (Kazimierza Laskowskiego) nakładem księgarni Ferdynanda Hösicka w Warszawie. Wydanie eleganckie może być ozdobą każdej czytelni. Nabywać można w wszystkich znaczniejszych księgarniach, także w Poznaniu.

## RUCH W TOWARZYSTWACH.

Założone zostało w mieście naszem Towarzystwo kobiet pod nazwą „Promień.“ Celem Towarzystwa jest stworzenie ogniska życia umysłowego i towarzyskiego dla kobiet pracujących i to za pomocą zebrań, odczytów, pogadanek, wspólnych wycieczek i zebrań towarzyskich.

W skład Zarządu wchodzą panie: Tekla Milska, przewodnicząca, Helena Fonżychowska sekretarka, Bolesława Przybył skarbniczka, Wanda Wrzesińska i Janina Omańkowska radne.

W środę d. 29-go kwietnia odbyło się pierwsze zebranie, na którem jedna z pań z Zarządu wyłuszczyła cele Towarzystwa. Następnie odczytano rozprawkę o poecie Mieczysławie Romanowskim i niektóre wyjątki z jego pism, poczem nastąpiła pogawędka. Drugie zebranie odbyło się w środę d. 6-go maja o godzinie 8 i pół wieczorem w Domu Katolickim. Na porządku dziennym był wykład pod tyt.: „Oświata i praca“, potem nastąpiły deklamacye i wspólny śpiew.

— Towarzystwo Robotników w Strzałkowie urządziło w niedzielę d. 10-go b. m. o godz. 7 i pół wieczorem na sali p. T. Maciejewskiego teatr amatorski. Odegrano z powodzeniem: „Recepta na trychiny“ i „Posag w kominie.“

Odezwa. Szanownym Rodakom już może wiadomo, że z łona Tow. Robotniczych w Berlinie i okolicy, a mianowicie z inicyatywy dobrze myślących Polaków, został założony związek Towarzystw polsko-kat. Robotników. Dzisiaj Szanowni Rodacy obwieszczamy Wam niektóre defitywne uchwały, które zapadły na nadzwyczajnem walnem zebraniu dnia 19 z. m. Ze względu, iż nowo utworzony Związek ograniczał swoją działalność tylko na prowincyą brandenburską, a przez to uniemożliwiał przystęp Tow. zgłaszającym się z po za obrębu brandenburskiego, paragraf 4 został o tyle zmieniony, że Związek przyjmuje wszystkie Tow. bez różnicy tytułu, lecz tylko polsko-kat. Działalność Związku rozciąga się obecnie na całe Niemcy. Wstępne, jak dotychczas, od każdego członka 50 fen., miesięczna składka 10 fen. wynosi. Korzyści ztąd wypływają: po półrocznem należeniu do Związku wypłaca się w razie śmierci 30 M., po roku 60 M., żonie zaś 30 M.

Szanowni Rodacy, otóż została założona instytucya, do której wszyscy garnąć się powinniśmy. Nie rozdrabniać się na małe siły, lecz wszyscy w jedno ogniwo się wiązać powinniśmy. Im większa ilość tem większa siła. Mamy związek polski, który daje korzyści te same co związki niem., zatem świętym obowiązkiem instytucyę tę popierać i z niej korzystać.

Szanowne Tow., chcące zasięgnąć bliższej informacyi, tudzież i odbitkę ustaw, uprasza się o nadesłanie 20 fenygowego znaczka pocztowego. Listy jako i inne korespondencye uprasza się adresować do przewod. p. Błocha w Berlinie, przy Barnim-Str. Nr. 11.

Zarząd.

## Od Redakcyi.

*Imci Ks. H. S. w K.* — Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy.

*Panu A. L. w W.* — Fabryki takiej nie ma w Poznaniu.

*„Ciekawej“ z Poznania.* — Odpowiedzi dać nie możemy, gdyż to sprawa prywatna.

*„Niezadowolonemu.“* — Nic nowego pod słońcem — już Salomon to napisał.... w I księdze w 9-ym wierszu.

*Gimnazyaście w O.* — Są wyrazy i „granica“ i „zagranica“; jedzie się więc „za granicę“ i zwiedza się „zagranicę“, w tych przykładach mieści się reguła, o którą Szan. Pan zapytuje.

*„Wierszoklecie.“* — Próżno, nie *prużno;* nim zaczniesz Pan latać, naucz się Pan chodzić, to nasza rada szczera.

*Panu A. F. w Poznaniu.* — Możesz Pan przejrzeć roczniki „Pracy“ w biurze naszej redakcyi i z nich zasięgnąć żądanej informacyi.

*Panu W. P. w Kruszwicy.* — Kup Pan sobie taką książeczkę w drukarni Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu, ulica Wodna.

*Panu J. J w Sokolegórze* (Pr. Zach). Nabyć Pan możesz tanio w każdej księgarni, mianowicie w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.



Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

# Dział kobiecy.



## *Swaty w Bośnii.*

Lud bośniacki, pomimo zetknięcia się z kulturą zachodnią zazdrośnie strzeże swych obyczajów ludowych, które pozostają u niego w dawnej prostocie, pomieszane z naleciałościami z czasów jarzma tureckiego. Niedawno prof. Emil Lilek w czasopiśmie „Głasnik“ zamieścił szereg szkiców, w których w sposób zajmujący kreśli zwyczaje, obowiązujące przy zawieraniu małżeństw w Bośnii i Hercegowinie, gdzie kandydat do ożenku musi narzeczoną porwać, ukraść, wysłużyć, jeżeli nie zdoła jej skłonić do opuszczenia domu rodzicielskiego i ucieczki do swego przyszłego pana a męża.

Lud bośniacki zna i toleruje dwa sposoby porywania dziewcząt; pierwszy, gdy chłopiec porywa dziewczynę wbrew jej woli i woli rodziców; drugi, gdy dziewczyna zgadza się na porwanie bez wiedzy rodziców lub rodziny. Zdarza się często, że dziewczyna dwom chłopcom da słowo i od każdego przyjmuje podarki zaręczynowe. Wówczas każdy z zalotników tworzy partyę i czatuje na dziewczynę, aby ją porwać w chwili właściwej.

Niekiedy pomiędzy partyami dochodzi do utarczek krwawych. Zwycięzca otrzymuje rękę dziewczyny. Obecnie władze usiłują zapobiegać porwaniom i karzą rabusiów długoletniem więzieniem. Za czasów tureckich działo się inaczej. Zalotnik dawał bakczysz tureckiemu adze, który wzywał duchownego chrześciańskiego lub mahometańskiego i co prędzej łączył związkiem małżeńskim rabusia z „ofiarą“ porwania.

Częściej jednak zdarza się wśród ludności chrześcijańskiej, niż mahometańskiej, porwanie dziewczyny za jej uprzedniem zezwoleniem. Zalotnik posyła do domu upatrzonej dziewczyny kobiety, należące do swej rodziny, które uprowadzają pannę młodą z domu na pole, gdzie już czeka przyszły mąż z koniem; członkowie rodziny porwanej przez dwa do trzech dni uganiają się za rabusiem po lasach; oczywiście, więcej jest w tych gonitwach formy, niż istotnej chęci odzyskania straty. Po dwóch dniach pogoni chłopiec wraca z narzeczoną do wioski i udaje się do duchownego, który bez trudności związek małżeński błogosławi. Rodzice rzadko kiedy odmawiają zgody na tak zawarte małżeństwo. Zazwyczaj dąsanie się rodziny panny trwa około sześciu miesięcy, poczem mąż posyła ojcu żony trzy woły i zgoda panuje w rodzinie. Chłopcy mahometańscy mszczą się na dziewczynach, które im odmawiają ręki; a w zemście tej bierze niekiedy udział cała rodzina odrzuconego.

Niekiedy, jeżeli forma „kosza“ jest obrażającą, ludność mahometańska bojkotuje dziewczynę, której po paroletniem oczekiwaniu na nowego zalotnika nie pozostaje nic innego, jak chyba za pośrednictwem swatów starać się o odzyskanie względów dawnego konkurenta. Wykradanie dziewcząt jest w Bośnii i Hercegowinie równie częste, jak porywanie za zgodą narzeczonej. Jeżeli chłopiec i dziewczyna mają się ku sobie, a rodzice są przeciwn, porozumiewają się i zalotnik posyła dwóch lub trzech przyjaciół, którzy dziewczynę wykradają. Po zawarciu ślubu, w dwa lub trzy miesiące, młoda żona udaje się do domu ojca, aby uzyskać przebaczenie.

Jednym z najoryginalniejszych zwyczajów bośniackich jest wysługiwanie sobie żony, praktykowane bardzo często przez ludność uboższą. Chłopiec, który się zakochał, a nie ma majątku osobistego, zawiera z ojcem panny układ, mocą którego wynajmuje się na służbę na lat kilka do domu przyszłej swej żony, a po upływie lat, w umowie zastrzeżonych, otrzymuje rękę ukochanej. Zwyczaj ten najzupełniej odpowiada formie kupna żony, praktykowane przez ludy, stojące na nizkim stopniu cywilizacyi.

*W. Z.*

## *Olbrzymka.*

W Ameryce północnej, w stanie Missuri, w mieścinie Horin, urodziła się i żyje miss Ella Ewing, słusznie nazwana najwyższą kobietą na świecie, wzrost jej bowiem wynosi 8 stóp 4 cale. Do lat 10 panna Ewing była wzrostu normalnego, poczem nagle tak podrosła, że wzrost jej wynosił stóp 6 cali 9. Rodzice Elli, ludzie biedni, nie mogli wydawać dużo na potrzeby swej córki, biedna olbrzymka sypiała na wązkiem i krótkiem łóżku, siadała na niewygodnych, bo na nizkich dla niej krzesłach i ciągle uderzała głową o sufit lub o belkę we drzwiach.

Dopiero skończyła się jej bieda, gdy dorósłszy do 8 stóp spotkała agenta jednego z cyrków, który jej zaproponował podróż po Ameryce i Europie na korzystnych warunkach. Zebrawszy pokaźną sumę, zbudowała sobie w rodzinnem mieście domek, stósowny do wzrostu. Pokoje w tym domu mają wysokości 15 stóp, drzwi 10 stóp, okna po 3 stopy. A i meble są tam niemałe. Stół ma 4 i pół stóp wysokości, łóżko 9 i pół stóp długości, inne sprzęty są równie odpowiednich rozmiarów. Panna Ewing nie jest jeszcze pełnoletnią i ogromnie boi się urosnąć.

### *Przeciwko zbytkom.*

Cesarzowa Abisynii, Taita, jest przeciwniczką strojenia się kobiet swojej ojczyzny, namówiła więc męża, ażeby energicznie wziął się do ukrócenia zbytków, na jakie pozwalały sobie kobiety abisyńskie. Menelik, mając na uwadze iż luksusowe urządzenia i stroje kobiet, mogą i na jego walecznych rycerzy źle wpłynąć, zakazał kobietom pod groźbą surowej kary nabywania od obcych kupców przedmiotów zbytku, złota i drogich kamieni; jako pokutę za dotychczasowe błędy, mają w odstępach dwumiesięcznych odbyć cztery dni pokutne, które przepędzać powinny w skupieniu ducha i modlitwie, a wszystkie stroje i biżuterye oddać poborcy cesarskiemu. Zakaz ten jest o tyle praktyczny, że ponieważ Abisyńczycy od dawnych czasów mnóstwo złotych ozdób nosili, skarb zrobi na tem dobry interes.

# Dział rolniczo-ekonomiczny.

## Nadzwyczajne Walne Zebranie

Spółki Domu Przemysłowego otworzył prezes Rady Nadzorczej dr. Pomorski na salce w czwartek dnia 7. bm. powitaniem licznie zgromadzonych członków. Zaraz potem wyjaśnił cel zebrania a tym celem jest wyjaśnienie, że Spółka nie domaga majątkowo, ponieważ nie zdołano osięgnąć tyle udziałów, ileby starczyło do zupełnego pokrycia długów. Na sekretarzy powołał pan prezes pp. Marwega i Filipowicza, poczem udzielił głosu członkowi Zarządu p. Preisowi, a ten przedłożył bilans. Członek Rady Nadzorczej p. K. Rzepecki przedstawił obrachunki wykazując cyframi, co budowa tego pięknego gmachu kosztowała, co dotąd przyniosła dochodu i jakie są niedomagania.

Z tego powodu zaproponowano powiększenie udziału na 300 mrk. Gdy członkowie na to się zgodzą, nastąpi zaspokojenie wszelkich zaległych pretensyi.

Po tem wyjaśnieniu i orzeczeniu wszczęła się bardzo ożywiona dyskusya, w której brali udział pp. Więckowski, Frankiewicz, Komendziński, mecenas Rychłowski, X. patron Wawrzyniak, jako gość i p. mecenas Cichowicz.

Wiele było opozycyi naprzeciw wnioskowi, ale były także głosy życzliwe wzywające do ofiarności.

W końcu mecenas p. Seyda podał wniosek, aby wybrano komisyą, złożoną z 9 członków i to 3 kupców, 3 budowniczych i 3 adwokatów, aby ci sprawę zbadali należycie we wszelkich szczegółach i mniej więcej za 2 tygodnie na ponownem nadzwyczajnem walnem zebrantu przedstawili jasny obraz interesów Spółki. Do komisyi wybrano pp. Więckowskiego, dr. Kusztelana, Biedermanna, Frankiewicza, Stan. Krysiewicza, Gliszczyńskiego, dr. A. Chłapowskiego, Seydę i Rychłowskiego.

Na tem zakończono obrady.

Miejmy nadzieję, że tak jak wspólnemi siłami wznieśliśmy gmach teatru naszego, tak i gmach przemysł nasz przedstawiający i tak pięknie się okazujący, a będący pod zarządem sumiennym utrwali się i istnieć będzie na dobrych podstawach. Na to potrzeba ofiarności, a kiedyż społeczeństwo nasze nie było ofiarnem, gdy chodziło o cele wzniosłe?

## Nowy styl w meblach.

(Dokończenie.)

Że w tem wszystkiem, wśród gorączkowego rozwoju nowego stylu, trafiają się wybujałości, chorobliwe fantazye i wprost śmieszności — to jest zrozumiałem. Wszystko co młode, musi przejść próby, nim się znajdzie w właściwych sobie granicach. Wielu meblom, wystawionym w Monachium i Dreźnie, zarzucano przesadę i śmieszność fantastyczną, nadużycie krzywizn i linii falistej. Niejedno i na pierwszych dwóch wystawach muzealnych w Wiedniu raziło i było ganione. Lecz już ostatnia wystawa dała dowód znacznego uspokojenia wyobraźni w tworzeniu form, bez szkody dla oryginalności i nowości. Bardzo słusznie mówi Hevesi, że „na dobrym koncepcie nie podobna usiąść ani na symbolu uciąć poobiednią drzemkę,“ — między artystami a publicznością dochodzi też do coraz ściślejszej harmonii i nowy styl zaczyna naprawdę nabierać siły i powagi stylu.

Hevesi odróżnia kierunek wiedeński od innych i stawia go wyżej ponad nimi. Co do oryginalności przypisuje bardzo wiele wpływowi t. z. secesyi wiedeńskiej w malarstwie, która także zaczyna odnosić tryumfy — co do tradycyi sprzęga go z meblami wiedeńskimi z czasów kongresu wiedeńskiego, gdy stolica Austryi była na chwilę stolicą Europy. Ostatni styl historyczny, t. j. styl cesarstwa (empire), został wówczas w Wiedniu przekształcony, i to w kierunku miłym, który go czynił mniej sztywnym i oficyalnym. Meble wiedeńskie z owego czasu są dziś bardzo cenione i ów „Biedermeierstil“, jak go Hevesi nazywa, jest niejednokrotnie źródłem natchnienia dla artystów, torujących dziś drogę nowemu stylowi.

We Wiedniu panuje dziś między artystami wiele w tej mierze ruchu. Szczególniej J. M. Olbrich i Józef Hoffmann wybili się na czoło jako kompozytorowie nowych form mebli i urządzeń. To też coraz więcej stolarzy i firm wykonawczych idzie im na rękę, a zamówień jest tyle, że podołać im nie sposób. Firmy A. Pospischil, Portois & Fix, znany tapicer wiedeński Zygmunt Jaray są tu przed innymi czynni.

*Największy zaiste czas, aby i nasi artyści i wybitni stolarze zwrócili uwagę na nowy styl w meblach i nie dali się w nich obcym firmom rugować.* Tem bardziej powinno to nastąpić, że nowy styl nie wyklucza zwrotu *ku pierwiastkom sztuki swojskiej, ludowej i nowych pod jej wpływem odmian.*

*J. Starkel.*

## Fabryka atramentu.

Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na ogłoszenie pierwszej fabryki chemiczno-technicznej w Poznaniu, polecającej na razie tylko swoje wyroby atramentów. Właściciel jej, p. dr. Leon Borucki, jest zawodowym chemikiem i inżynierem. Kilkanaście lat spędził w różnych krajach Europy, jako to w Niemczech, Francyi, Anglii, na Bałkanach i t. d., bądź to jako założyciel różnych przedsiębiorstw powstających, bądź to jako kierownik już istniejących w pełnym rozwoju.

Wiedziony długoletnią za krajem tęsknotą, do czego dołączyła się jeszcze troska o wychowanie syna, osiadł nareszcie pomiędzy nami, by działać, choćby w szczuplejszym na razie zakresie, ale o własnych siłach, przyczyniając się choć w drobnej części do uprzemysłowienia naszej dzielnicy, którego nam tak bardzo potrzeba.

Pan dr. Borucki nie ograniczył się bynajmniej na samem wyrabianiu atramentu, gdyż niebawem poda do szerszej wiadomości jeszcze inne artykuły, niemniej przydatne w życiu codziennem i jak najrozleglejszy zbyt rokujące.

Na tej zasadzie, jak niemniej, że założona fabryka jest w Poznaniu pierwszą podobnego rodzaju, życzymy jej jak największego rozkwitu, polecając gorliwemu poparciu naszych Czytelników.

## Notatki ekonomiczne.

*Fabryka obuwia w Warszawie.* Grono kapitalistów amerykańskich otwiera wkrótce w Warszawie fabrykę obuwia maszynowego pod firmą „Mauhattan Shoe Manufacturing Company“. Kapitał zakładowy przedsiębiorstwa wynosi 500.000 rub. Fabryka ma zatrudnić kilkuset robotników; zbyt jest obliczony na Królestwo Polskie i gub. wewnętrzne. Na czele przedsiębiorstwa stoi p. Benno Spielberg.

# Dodatek Humorystyczny.

### Maj — wiosna.

Zieloność okrywa drzewa
Pola i łąki,
Już brzęczą „bąki“
I słowik śpiewa
Pora radosna,
Maj... wiosna!
Już każda nasza niewiasta
Suszy nam głowy
O kostyum nowy
I wyjazd z miasta.
Pora radosna,
Maj... wiosna!
Nie wytrwać długo w uporze
Na łzy niewieście —
Jest lombard w mieście,
On nas wspomoże.
Pora radosna,
Maj... wiosna.

### W kancelaryi wystawy obrazów.

— Chciałem zapytać, czyby to nie można było wystawić mojej żony, którą zaślubiłem przed paru dniami...

— Pan daruje... ale my wystawiamy jedynie dzieła sztuki..

— No, właśnie, dlatego przychodzę z moją propozycyą do panów..

— Nie rozumiemy..

— Bo, to widzicie panowie, ja byłem przekonany, że zaślubiam osobę zupełnie ludzką, tymczasem okazuje się, że moja żona ma włosy sztuczne, zęby sztuczne, kibić sztuczną, oraz brwi i rzęsy sztuczne... Wobec tego, byłoby, zdaje się, całkiem naturalnem, żeby taki okaz sztuki artystycznej wystawić w salonie panów na widok publiczny...

### Zródło niepokoju.

— Doktor. Nadewszystko potrzebujesz pan absolutnego spokoju! Wtedy dopiero zaczniesz powracać do zdrowia!

— Pacyent. Taak? To może by szanowny konsyliarz zaniechał swych wizyt, gdyż one mnie najbardziej niepokoją...

### Położenie bez wyjścia.

Pewien Pantofel ma za żonę Ksantypę, znęcającą się nad nim po dniach i nocach całych. Wreszcie znajomi biorą Pantofla w opiekę i wyrabiają mu separacyę.

W czas pewien po ogłoszeniu wyroku, ktoś spotyka Pantofla pod rękę z magnifiką, bierze go tedy na stronę i pyta:

— Co to znaczy? Pomimo separacyi chodzisz z żoną po ulicach pod rękę?

A pantofel wzdychając żałośnie:

— Bo nie chce.

— Kto nie chce?

— Ona nie chce... Ja mam wyrok w kieszeni, ale żona iść sobie nie chce.

### W szkole.

— No, chłopcy, teraz kiedy już macie pojęcie o zoologii, powiedzcie mi, jakie zwierzęta robią najwięcej szkody ludziom?

— Dzieci — proszę pana profesora.

### FRASZKI.

Jeżdżą trochę na rowerach
Już nasze panienki,
Jest przyczyna, by powrócić
Do krótkiej sukienki.

Lecz nie jeżdżą jakoś wiele
Nadobne mężatki.
Czyż by było to przyczyną
Powagi dziś rzadkiej?

Nie! Toż wygodniej w pojeździe
Jeździć w szyk-koronkach.
Zamiast jeździć na rowerze —
Mścić się na małżonkach.

### Z rozmów przyjacielskich.

— A z żoną żyjesz dobrze?

— O tak. Zupełnie harmonizujemy z sobą. Ona widzi *tylko* moje, a ja widzę *tylko* jej błędy...

### *Litościwa rzeźniczka.*

— Nie uwierzy panna Maryanna, jak mi żal ubogich ludzi; ani mowy, żeby mogli sobie kupić kawałek mięsa, bydło takie drogie.

— No, przecież bydło staniało.

— Tak, ale abo my głupi sprzedawać mięso taniej, kiedy nam już tak drogo płacą?

### Zagrożone poczucie godności.

— Dlaczego Pan nie chce wybrać się kiedy na wycieczkę w góry?

— Bankier: Dlaczego? Bo czyta się wszędzie, że „wobec majestatu szczytów górskich, człowiek wydaje się sobie nieskończenie małym.“ A ja tego nie chcę... Po co mi to?

### Poezja i proza.

*Poeta w natchnieniu.*

Na dalekim nieboskłonie,
W kraju pragnień i tęsknoty,
W najszczytniejszych marzeń stronie,
Błyśnie kiedyś promień złoty...
Oh! zaprawdę — wówczas blady
Wieszcz zanuci wam wesoło,
Gdy rozleją się kaskady
Roziskrzonych świateł w koło!...

*Żona, wpadojąc nagle do gabinetu.*

Toż od wczoraj od wieczora
obiecujesz dać mi groszy?!...

*Poeta w ekstazie.*

Nawet zbliża się już pora!...
Już odżyła pieśń rozkoszy!...

*Żona niecierpliwie.*

Bryczka z Wólki wszak przybyła,
Trzeba Grzeli dać rupiecie!

*Poeta ogniście.*

Oh, zapewne żadna siła
Nie powstrzyma prądu przecie...

*Żona z pasją.*

Trzeba graty brać co żywo,
A ty głupstwa płodzisz oto!

*Poeta filozoficznie.*

Pieśń przedziwna zbiera żniwo.
Lecz trza nucić ją z tęsknotą!...
Bez spoczynku, bez wytchnienia,
Pod niebiosy niechaj płynie, —
Bowiem ona opromienia
Nasze życie dziś jedynie!...
Niech pogrzebie się osnowa
Kłamstw w zapomnień czarnym grobie
I pożądań marnych mowa
Niech zamilknie na tym grobie!!...

*Żona, uderzaiąc go dłonią w łysinę.*

Już jest Grzela!... gdzież są grosze
Te, na które żona liczy?!!...

*Poeta, odzyskując nagle przytomność.*

Grzela?... Spytaj więc go, proszę...
Czy... talara nam pożyczy?...

# Dział powieściowy.



# MĘCZENNICA W KORONIE.

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

62) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Dziękuję ci w jej imieniu, — rzekła.

— Albo lepiej nie mów jej, że te pieniądze pochodzą odemnie, — zawołał lord po krótkim namyśle, — może by ją to obraziło! Ofiaruj je sama. Co do naszej podróży, to wyjedziemy zapewne pojutrze!

Lady Wiktorya kazała natychmiast zawołać Józefinę i opowiedziała jej o zamierzonym wyjeździe do Petersburga.

Wiadomość ta nie zadziwiła zbytecznie Józefiny, wiedziała ona, że bogaci ludzie zmieniają często miejsce pobytu, ucieszyła się, że ujrzy Petersburg, miasto, w którem tyle wycierpiała!

Zabrano się natychmiast do pakowania rzeczy, lord Wiliam zamówił wagon dla siebie i starał się jak mógł o wygodną i przyjemną podróż.

W Petersburgu było już mieszkanie przygotowane, i to w elegackiej willi na Newskim Prospekcie.

Dziwne uczucie ogarnęło Józefinę, gdy korzystając z pierwszej, wolnej chwili, wyszła na ulicę! I mimowoli zwróciła się na owe przedmieście, gdzie mieszkała w osławionej kawiarni, pomiędzy pokojami ojca Felicyi i fałszerza pieniędzy, markiza La Roche!

— Biedny, nieszczęśliwy starzec, — myślała z litością, — pewnie już umarł na Sybirze!

Wieczorem wyszedł lord wcześnie z domu pod pozorem załatwienia jakiejś ważnej sprawy i udał się natychmiast w jednę z bocznych ulic. Tutaj stanął przed małą, ale wytwornie urządzoną restauracyą i spojrzał uważnie na numer kamienicy

— Jestem na miejscu, — szepnął. — On tu musi być!

W sali restauracyjnej mało było osób. Lord Corrigan wszedł, obejrzał się i spostrzegł przy jednym z stolików nie młodego już mężczyznę, palącego cygaro.

Był to dyrektor policyi, Wasyl.

Zaledwie ujrzał lorda wstał i zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką.

— Jakże się cieszę milordzie, — rzekł, — że cię raz znowu widzę! Myślałem, że już o mnie zupełnie zapomniałeś!

— Miło mi dowieść panu, że się omyliłeś, — odpowiedział lord Corrigan cicho. — Otrzymałeś mój list?

— Tak, i myślałem długo o nim!

— Ale rozumiałeś pan jego treść?

— Tak! Siadaj pan obok mnie, gdy się rozmawia o rzeczach ważnych, trzeba być ostrożnym. Więc wracając do listu — treść jego zrozumiałem, ale nie zupełnie. Prosisz mnie o przysługę, milordzie — to ci już z góry przyrzekam — nie zapomnę, że raz dałeś mi sto tysięcy franków —

— Ach, nie wspominaj pan o tej bagateli, — przerwał lord niechętnie.

— Uczynię więc wszystko, co chcesz, milordzie! Wspominasz w liście o jakiejś osobie, której pragniesz się pozbyć.....

— Tak! Muszę jej się pozbyć, za jakąkolwiek bądź cenę!

— Kto to jest?

— Pewna — młoda — dziewczyna!

— No proszę! I kto ona?

— Towarzyszka mojej żony!

Wasyl rozśmiał się głośno.

— Ah! — zawołał, — teraz rozumiem! Jest to pewnie ładna dziewczyna, podobała się panu — żona zazdrosna — teraz chciałbyś ją usunąć — ba, znamy takie rzeczy!

— Ależ panie dyrektorze!

— Nie wypieraj się, milordzie!

— Daję panu słowo, że tym razem chodzi coś innego, o coś poważniejszego!

— O, to mnie zaciekawiłeś, milordzie!

— Ja tej młodej dziewczyny nigdy nie kochałem! Przeciwnie, od pierwszej chwili, w której ją ujrzałem, znienawidziłem ją do tego stopnia, że.....

— Czy taka brzydka? — przerwał Wasyl.

— Ach nie! Jest to bardzo piękna dziewczyna. — Ale widzę, że muszę panu prawdę wyznać. A więc, — dodał lord ciszej, pochylając się ku Wasylowi, — jest to córka — mojej — żon, ale nie moja! Bardzo to dla mnie bolesne — —

Nędznik ten nie wahał się nawet przed shanbieniem czystego jak kryształ imienia swej żony!

Wasyl otrząsnął popiół z cygara i rzekł spokojnie.

— Tak, to bardzo nieprzyjemne, ale podobne rzeczy zdarzają się wszędzie.

— Wiem, ale moja żona jest do tego stopnia zuchwałą, że sprowadziła tę dziewczynę do mego domu. Ja nienawidzę jej i drżę na myśl, że sprawa ta wyda się i że nazwisko Corrigan stanie się przedmiotem najrozmaitszych plotek! Ta dziewczyna musi zniknąć, i pan musisz mi w tem dopomódz!

— Zniknąć?

— Tak, aby się już nigdy nie pojawiła!

— Co rozumiesz milordzie pod — zniknięciem? — zapytał Wasyl po chwili milczenia.

— Naprzykład — posłać ją — na Sybir. Ztamtąd ludzie nie wracają tak prędko!

Wasyl milczał.

— Może ten papier naprowadzi pana na dobrą myśl, — rzekł lord Corrigan, — oto czek na sto tysięcy rubli!

— Daj pan i uważaj tę dziewczynę za nieistniejącą już, — zawołał Wasyl, chowając czek do pugilaresu.

Lord Corrigan odetchnął.

— Będę panu wiecznie wdzięczny, — szepnął.

— Odpowiedz mi pan tylko na kilka pytań. Więc życzysz sobie, aby — ona — została zesłaną na Sybir?

— Tak.

— W takim razie trzeba rzucić na nią jakie podejrzenie, inaczej nie można jej z domu wyprowadzić.

— Broń Boże, na to by już moja żona nie pozwoliła! Ona by poszła do samego cara!

— Do cara! Czy pan myślisz, że do cara może iść, kto chce?

— Dla lady Corrigan nie ma nigdzie zamkniętych drzwi, — rzekł lord Wiliam dumnie.

— Nie, ale próg u drzwi do pokoju cara jest tak wysoki, że ludzie potykają się o niego!

— Tem lepiej! tem lepiej! Więc wszelkie starania mojej żony będą daremne!

— Zapewne. O cóż to będziemy podejrzywać ową towarzyszkę?

— Może o kradzież banknotów, które włożę w jej szufladę. Wobec służby przeszukam jej rzeczy i, banknoty znajdą się tam!

— To nie wystarcza, bo za to idzie się na dwa albo trzy lata do więzienia, a nie na Sybir!

— Szkoda! Nie wiem doprawdy, w jaki sposób usunąć tę Dianę de Bassano!

— Jak? Jak ona się nazywa? — krzyknął nagle Wasyl.

— Diana de Bassano, ale to fałszywe nazwisko! — odrzekł lord zdumiony.

— Ah, to wybornie! Jutro o tym czasie już jej w domu pana nie będzie! Daję panu na to słowo honoru!

Lord William kazał przynieść szampana i wypił go z Wasylem na pomyślność ich haniebnego planu!

ROZDZIAŁ XCVIII.

## Smutne przeczucie.

Następnego wieczora pojechała lady Wiktorya z Józefiną na operę.

Lubiła ona bardzo dobrą muzykę i nie opuszczała żadnej sposobności korzystania z tej rozrywki.

Gdy po skończonem przedstawieniu schodziły ze schodów, ujrzały nagle lorda idącego im naprzeciwko.

— Przyjechałem po ciebie, droga Wiktoryo, — rzekł uprzejmie, — i zapraszam ciebie oraz pannę Dianę de Bassano na kolacyą do restauracyi.

Nazwisko Józefiny wymówił lord bardzo głośno, tak, że stojący za nim mężczyzna obrócił się żywo i spojrzał uważnie na nią.

— Dziękuję ci, — odpowiedziała lady Corrigan, — ja wolę zjeść kolacyą w domu!

— Jak chcesz.

Wszystko troje wyszło na ulicę, i pojechało razem do domu.

Lord William był dziś w świetnym humorze — mówił dużo, śmiał się, prawił Józefinie komplementa i było już po dwunastej, gdy lady Wiktorya oświadczyła, że czas udać się na spoczynek.

Józefina wstała natychmiast i wyszła do swego pokoiku, lady Wiktorya również.

Lord William został sam w salonie.

— Ostatnie to wasze pożegnanie, — szepnął, zbliżając się do okna. — Ah, tam stoi Wasyl i jego ludzie! Jeszcze chwila, a dziewczyna ta przestanie mi zawadzać!

Potem kazał zagasić światła i udał się do swej sypialni.

Lady Wiktorya tymczasem, dziwnie dzisiaj smutna i przygnębiona, wezwała jeszcze Józefinę do siebie,

— Zostań u mnie, jeżeli nie jesteś zanadto zmęczoną, — rzekła. — Nie będę mogła zaraz usnąć.

Józefina pomogła jej zamienić strojną suknią na wygodny szlafroczek i usiadła przy kanapie, na której się lady położyła.

— Nie wiem co mi dziś jest, — mówiła lady Wiktorya. — Mam takie przeczucie, że spotka mnie coś złego! Lękam się każdego szelestu — co to może być?

— Rozdraźnienie nerwowe, nic więcej! — uspokajała Józefina. — Może to wina muzyki.

— Może! Gdy ty jesteś przy mnie, czuję się nieco spokojniejszą. Nie chciałabym wogóle, abyś się odemnie oddalała! O, gdy pomyślę, że cię utracić mogę.....

— Ja cię nigdy nie opuszczę, milady! — zawołała Józefina z uczuciem.

— A jednak raz będziesz musiała mnie opuścić!

— Czemu? Czy milady niezadowolona zemnie?

— Broń Boże, wiesz przecież, że kocham cię jak własną córkę, ale gdy znajdziesz kogoś, kogo pokochasz, i kto się okaże godnym twej miłości, wtedy.....

Józefina zadrżała.

— Ach milady, — szepnęła, — to nigdy nie nastąpi! Takie szczęście jest dla mnie niedostępnem!

— Tego mówić nie możesz, moje dziecko! Jesteś młoda, piękna, czemu nie masz wyjść dobrze za mąż?

— Ja kocham już —

Lady Wiktorja zdumiona spojrzała na nią.

— Więc serce twoje już przemówiło? — zawołała — Kto jest twój wybrany? Cóż to płaczesz? Powiedz mi wszystko — miej do mnie zaufanie, może ja ci zdołam pomódz...

— Ja kocham i jestem kochaną, — szepnęła Józefina, — i jestem z wybranym mego serca połączoną węzłem małżeńskim! Wzięliśmy ślub.....

— To ty jesteś zamężną! — przerwała lady Wiktorja zdziwiona.

— Tak, ale moje szczęście małżeńskie nie trwało długo, Stosunki rodzinne zmusiły mnie do rozłączenia się z moim mężem! O, nie myśl, milady, że on jest złym — jest to najlepszy, najszlachetniejszy w świecie człowiek, ale pomiędzy nami wznosi się jakaś zagadkowa zapora, której pojąć nie umiem! Wiem, że on mnie kocha, że oddałby życie dla mnie, a nie znam nawet miejsca jego pobytu, i nie wiem, co się z nim dzieje.

— Biedne dziecko, ile ty cierpieć musisz! Jak się mąż twój nazywa?

— Proszę, nie żądaj, abym ci to powiedziała, milady. Nie jest to moją tajemnicą. Pochodzi on z arystokratycznej rodziny!

— No, wiem teraz wszystko, i będę się starała osłodzić ci o ile możności twe kłopoty. Idź spać ,moje dziecko, czuję, że jestem zmęczoną, i tobie także potrzeba odpoczynku! Ufaj Bogu, on najlepiej naszemi losami pokieruje!

Józefina ucałowała ręce lady Wiktoryi i wyszła.

Nieszczęśliwa matka została sama.

— Dziwna rzecz, — myślała, — jak ja się do tej Diany przyzwyczaiłam, jak ją pokochałam! Ach, gdyby moja córka była taką jak ona! I ona kocha mnie szczerze! Czasem patrzy na mnie tak, jak gdyby mi chciała coś wyznać — albo mnie pocieszyć — ach, czyżby się czego domyślała..... Ale to być nie może! Chyba, że w mojej nieobecności przeczytała mój dziennik.....

I lady Wiktorja wstała z kanapy i mocno zaniepokojona pobiegła do małej, żelaznej szkatułki, przytwierdzonej szrubami do stołu i otworzyła ją.

Ale nie, tu wszystko było w porządku, nikt zawartość szkatułki nie ruszył.

— Dzięki Bogu, — szepnęła — że podejrzenie moje było niesłuszne! Diana nie byłaby zdolną do podglądania cudzych tajemnic i do szpiegowania ludzi! Jak mogłam coś podobnego przypuszczać!

I zaraz potem udała się na spoczynek i zgasiła świecę.

Józefina długo jeszcze siedziała, w smutnych pogrążona myślach.

Jak okrutnie los igrał z jej sercem! Mąż i matka — dwie osoby, które najwięcej kochała na świecie, były jej niedostępnemi. O Maksymiljanie oddawna już nic nie słyszała — nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyje — matkę miała tak blizko, a jednak nie mogła przycisnąć do serca i powiedzieć, jak bardzo, jak serdecznie ją kocha! Gorące łzy spływały z pięknych oczu Józefiny, i w końcu, zmęczona płaczem, usnęła na kanapie. Ale sen jej nie trwał długo.

Wkrótce obudziła się, przestraszona jakimś łoskotem, i szybko pobiegła do drzwi.

Na dole pukał ktoś z całej siły do bramy.

Józefina wyszła na kurytarz, aby zobaczyć, co się stało.

— Otwierajcie! Otwierajcie! — wołał głos jakiś z ulicy.

— Kto się ośmiela budzić państwo w nocy? — rzekła Józefina do odźwiernego, który również wybiegł z swego pokoju. — Kto to jest!

— Otwierajcie w imieniu prawa! — krzyknął późny gość.

— W imieniu prawa! — powtórzył odźwierny przerażony. Jak każdy Moskal bał on się strasznie policyi i sądu! Józefina zbladła również.

Czego policjanci chcieli o tej porze w domu lorda angielskiego!

Odźwierny, milcząc, otwierał teraz czemprędzej drzwi.

Do sieni weszło kilku żandarmów i mężczyzna w cywilnem ubraniu, który widać był ich naczelnikiem.

— Zamknąć teraz dom, — rozkazał odźwiernemu, — i pod karą nikogo nie wypuszczać!

Równocześnie ukazał się lord William na schodach ze świecą w ręku.

— Co to znaczy? zawołał pozornie zdumiony i rozgniewany, — kto tam tak hałasuje w nocy?

— Żandarmi! — odrzekł odźwierny.

— Żandarmi? Oni w moim domu nie mają nic do szukania!

— Czy pan jesteś lord Corrigan? — zapytał teraz naczelnik.

— Tak jest — z kim mam zaszczyt — —?

— Jestem Wasyl, dyrektor policyi!

— Wielki to dla mnie zaszczyt, ale powiedz mi pan, czego sobie życzysz?

— Zaraz to panu powiem, nie tu jednak.

— Więc proszę do mego pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# POD PRUSKIM ZABOREM.

*Napisał RENÉ BAZIN.*

8) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Na końcu alei, o dwieście metrów przed nim, ogród część domu Bastianów zdawały się, jakby ujęte w ramy czarowne. Drzewa wiśniowe wszystkie zakwitły w tymże tygodniu, w którym kwitną grusze i krzewy migdałów. Grusze kwitły pękami, migdały gwiazdami, a wiśnie stare jaśniały długiemi kiściami białych koron.

Około pąków mięsistych, nabrzmiałych, zaczerwienionych sokami wiosny, kłębiły się mil ardy śnieżnych, drżących płatków, tak czasem skupionych, że niknęła pod niemi gałązka. Każde drzewo na wszystkie strony rzucało kwietne strzały. Wiśnie były tak rozłożyste, że stojące naprzeciw siebie drzewa stykały się i łączyły w lekim pocałunku. Legiony pszczół otaczały je mgłą skrzydlatą. Fale subtelnego miodnego zapachu szły po drodze, a potem leciały w dal ku płaszczyznom, na niwy, przygotowane pod zasiew, na ziemię jeszcze nagą, prawie zaskoczoną przez tę wczesną wiosnę. W całej dolinie nie było drzew równych wspaniałością tym rajskim szeregom. Tylko na folwarku Ramspacherów cztery orzechy, na których zaczęły się pojawiać pierwsze listki, ciemniały w pobliżu, niby emalia nałożona na ściany budynków.

Czas mijał. Z wierzchołków drzew wiśniowych deszczem spadały białe płatki.

Nagle uchyliła się baryera, zamykająca drogę. Poruszyła ją pochylona postać kobieca. To ona. Wyprostowała się i poszła środkiem alei, między dwoma pasami trawy; szła wolno, patrząc w górę i przyglądając się białym liściom. Widzenie ślubnego wianka musnęło jej oczy dziewicze. Szła bez uśmiechu, lecz cała jej twarz promieniała, a ręce wyciągnęły się instynktownie. W ten sposób jej młodość składała podziękę powitaniu radosnej ziemi. Dążyła do Alsheimu. Wiśnie obsypywały kwiatami jej kapelusz, twarz wzniesioną i ciemno-błękitną suknię. Miała w sobie jakąś wielką powagę. W lewej ręce trzymała książkę do nabożeństwa, na pół ukrytą w fałdach sukni. Myślała, że jest zupełnie samą na drodze. Szła otoczona blaskami przyrody, której piękność odczuwała w całej pełni. W dzielnej dziewczynie nie było ani śladu niemocy; tryskała z niej odwaga życiowa. Oczy spoczywające na szczytach drzew, miały wiele myśli; nie było w nich ani śladu rozmarzenia.

Zbliżała się, nie wiedząc, że Jan na nią czekał. Minęła już godzina obiadowa, z Alsheimu więc dochodziły zwykłe echa pracy: turkot wozów, szczekanie psów, głosy dorosłych i dzieci — ale to wszystko zgłuszone było oddaleniem, rozpierzchłe po wielkiej przestrzeni, stłumione wiatrem, niby grudka ziemi oderwana od brzegu i wpadająca do morza.

Kiedy go już mijała, Jan zdjął kapelusz i wychylił się przez żywopłot, a ona, choć miała wzrok wlepiony w kwitnące drzewa, odwróciła głowę z pełnią wiosennego wzruszenia w oczach.

— To pan? — zapytała.

Podeszła natychmiast do miejsca, w którem Jan się zatrzymał.

— Nie mogę już bywać w domu pani, jak dawniej. Dlatego czekałem na nią tu... Chcę panią prosić o jedną łaskę...

— Łaskę? Mówi pan tak poważnie!

Chciała się uśmiechnąć, ale uśmiech do ust nawet nie dobiegł. Pobledli oboje.

— Pojutrze wybieram się na górę świętej Otylii — mówił znów Jan takim tonem, jak gdyby wyjawiał niezmiernie ważne postanowienie... Chcę usłyszeć dzwony wielkanocne. Gdyby pani zechciała także tam pójść...

— Uczynił pan wotum?

Odpowiedział.

— Tak, Otylio! Muszę z tobą pomówić, z tobą samą...

Otylia o krok się cofnęła.

Z pewnym przestrachem w spojrzeniu starała się wyczytać z twarzy Jana prawdę, tę prawdę, którą odgadywała. On także patrzył na nią z bolesnym niepokojem. Stali wyprostowani, drżący, tak sobie blizcy i tak jednocześnie dalecy — rzekłbyś, że grozili sobie wzajemnie. Istotnie, każde z nich doznawało uczucia, że teraz wchodzi w grę spokój całego ich życia. Mężczyzna i kobieta z rasy silnej i namiętnej stali naprzeciw siebie. W tej chwili ujawniały się wszystkie potęgi w ich istotach spoczywające i obalały banalność zwyczajów; w tych prostych słowach: „Muszę pomówić z tobą" Otylia odczuła tchnienie duszy, która się oddaje i w zamian pragnie oddania.

W pustej alei wiśnie ku niebu bielały, a w kielichu każdego kwiatu jaśniało całe słońce wiośniane.

— Pojutrze? — powtórzyła. — Na górze świętej Otylii... By usłyszeć dzwony wielkanocne?....

Powtarzała jego słowa. Chciała zyskać trochę na czasie, lepiej jeszcze przeniknąć te oczy w nią wpatrzone, podobne do zielonych głębin leśnych.

— Pójdę — rzekła.

Ani jedno, ani drugie nie dodało już słowa objaśnienia. Wóz zaturkotał nagle w pobliżu. Jakiś człowiek zamykał bramę w folwarku Ramspacherów. Ale między dwojgiem młodych ludzi padły już słowa, które miały być wypowiedziane.

W tych głębokich duszach słowa odbijały się echem nieskończonem. Nie były to już dusze samotne. W każdej żyła pamięć chwili świętej spotkania z drugą i zagłębiała się w niej, jak ziarno rzucone w ziemię świeżo zaoraną.

Otylia odeszła.

Jan patrzył z zachwytem na tę piękną, tak zdrową duchem istotę, malejącą w oddali. Szła prosto, nie przeginając kibici. W wyobraźni swojej Jan stroił jej jasną główkę w czarną kokardę Alzatek, mieszkających za Strasburgiem. Otylia już nie patrzyła na kwiaty wiśniowe. Suknia jej wlokła się po ziemi, uginając trawy, zostawiając po sobie trochę kurzu i płatków kwiatowych, a te poruszały się poraz ostatni przed zgonem.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Do soboty czas się dłużył. Jan powiedział ojcu:

— W Wielką Sobotę kilku pielgrzymów idzie na górę świętej Otylii posłuchać dzwonów. Nigdy tam nie byłem o tej porze. Poszedłbym z nimi chętnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, ojcze.

Przeszkód nie było.

Skoro tylko Jan się obudził, pierwszą jego czynnością było otworzenie okna. Mgła gęsta zasłaniała horyzont. O sto metrów od domu nic było nic widać.

— Chyba nie pójdziesz w tak okropną pogodę? — zapytała Lucyna, która w jasnym rannym negliżu piła czekoladę małemi łykami w chwili, gdy brat wszedł do sali jadalnej.

— Owszem, idę.

— Nic nie zobaczysz.

— Usłyszę.

— A więc to jest tak bardzo ciekawe?

— Tak.

— W takim razie zabierz mnie z sobą.

W gruncie rzeczy nie miała ona najmniejszej ochoty towarzyszyć bratu w jego wycieczce i chciała go tylko uścisnąć i utrzymać jeszcze chwilkę.

— A zatem, istotnie chcesz odbyć coś w rodzaju pielgrzymki, tam, na górę?

— Tak, coś w rodzaju...

Pochylona nad filiżanką nie mogła dojrzeć przelotnego uśmiechu na twarzy brata, po chwili więc odparła z lekką goryczą:

— Wiesz dobrze, że nie jestem wcale bigotką; z konieczności wypełniam obowiązki, które na mnie wkłada katolicyzm, ale praktyki religijne nie nęcą mnie wcale. Ty jesteś daleko pobożniejszy odemnie, powiem ci więc, o co się masz modlić. Wierzaj mi, cel ten wart jest pielgrzymki.

Zmieniła ton, głos jej stał się namiętnym, brwi się podniosły, oczy patrzyły zarazem czule i rozkazująco.

— Powinieneś prosić Boga — mówiła — aby ci dał żonę trudną do znalezienia, ale niezbędną w warunkach, wśród których żyć będziesz tutaj. Kiedy wyjdę za mąż i opuszczę te strony, życie w tym domu stanie się okropnem,

Ty jeden dźwigać będziesz cały ciężar nieporozumień rodzinnych i niedowierzania włościan. Przed nikim nie będziesz się mógł poskarżyć. Chciałeś koniecznie mieszkać w Alsheimie, módl się zatem, aby ci Bóg zesłał żonę silną, wesołą, obowiązkową, któraby cię mogła odczuć i zrozumieć. Widzisz chyba, że myśl moja jest myślą prawdziwej przyjaciółki.

— Szczerej przyjaciółki.

Uścisnęli się.

— Do widzenia, pielgrzymie — powodzenia!

— Do widzenia.

Jan się wymknął — po chwili był już w parku, minął kratę, skierował się wzdłuż winnic i wszedł do lasu, pogrążonego we mgle.

Jodły, skupione na zboczach gór, bliżej potoku wydawały się szare, a dalej ginęły w bezsłonecznych obłokach.

Jan nie poszedł wytkniętą drogą, ale biegł wesoło przez las, wdzierając się na występy mniej strome. Czasami się zatrzymywał dla nabrania tchu i wsłuchiwał się, czy gdziekolwiek w tajemniczej ciszy leśnej, nieprzeniknionej dla oczu ludzkich, nie ozwie się głos Otylii lub innych pielgrzymów. Ale nie! Słyszał tylko staczanie się wód, czasem nawoływanie psa, albo stłumiony głos biednego Oberneńczyka, który przybył do lasu po uschłe gałęzie wbrew regulaminowi, pozwalającemu na zbieranie tych gałęzi tylko we czwartek. Czyż jednak w dzień Wielkiejnocy mógł się nie zagotować kociołek z kaszą? I czyż mgła, ukrywająca wszystko przed oczami dozorców, nie była dowodem Bozkiej opieki?

Jan wspinał się z rozkoszą po reglach dzikich i pustych.

W miarę, jak się podnosił coraz wyżej, rosła w nim myśl o Otylii, radość, że zobaczy się z nią na tem świętem dla Alzacyi miejscu i w dniu podwójnie uroczystym. Dokoła niego zanogcica, ten piękny gatunek paproci, roztaczała swe aksamitne pastorały, pokrywając jakby kobiercem skaliste zbocza. Na wiciach, na których w zeszłym roku rozpięty był przewiercień co pół stopy, pojawiły się listki; zakwitły już pierwsze poziomki i konwalie; bodziszki, które na górze świętej Otylii są wyjątkowo piękne, podnosiły swe kosmate łodygi; mnóstwo bruśnic, borówek, czernic, maliniaków, t. j. całe poszycie lasu, a dalej rozległe pola zaczynały już rozlewać w powietrzu zapach swych krążących soków. Mgła wchłaniała te wonie i zatrzymywała je niby siatka rozciągnięta na zboczach Wogezów.

Jan minął Heidenbruch, popatrzył na zielone okiennice i poszedł dalej.

— Stryju Ulrychu — szepnął do siebie — byłbyś bardzo szczęśliwy, gdybyś mnie widział i wiedział dokąd idę i z kim, być może, będę za chwilę.

„Wierny,“ na pół śpiący, zaszczekał, ale nie podbiegł. Góra była jeszcze zupełnie pustą. Myszołów wydzierał się ponad mgłami. Jan, który od czasów swego dzieciństwa nie odbywał podobnej wycieczki, zachwycał się dzikością i spokojem tego krajobrazu. Dosięgnął nareszcie najwyższej części góry, stanowiącej własność biskupstwa strasburskiego, i chcąc ożywić w sobie dawne, z czasów uczniowskich jeszcze wrażenia, długo szedł wzdłuż „muru pogańskiego,“ mającego w obwodzie 10 kilometrów i otaczającego szczyt św. Otylii. O południu przebył skałę Männelstein i wszedł na dziedziniec klasztorny. Klasztor, wznoszący się na samym wierzchołku góry, zbudowany był z kamienia i przewyższał otaczające go jodłowe lasy....

Na dziedzińcu ujrzał Jan kilkanaście grup pielgrzymów, wyprzężone powozy, konie przywiązane do pni odwiecznych topoli, które nie wiadomo jakim sposobem wyrosły na tej wyżynie i dzisiaj pokrywają swemi konarami prawie całą przestrzeń zamkniętą murem.

Jan przypomniał sobie drogę i skierował się ku kaplicom, znajdującym się na prawo, obojętnie minął pierwszą, pokrytą freskami i w drugiej, o sklepieniu gotyckiem, zatrzymał się przed szkatułką z relikwiami; tam ujrzał woskową statuę w leżącej postaci, w welonie, w płaszczu fioletowym, podbitym gronostajami, z pastorałem w ręce. Była to patronka Alzacyi, święta Otylia, przełożona klasztoru. Różowa jej twarz jaśniała łagodnością.

Jan ukląkł i z całą głębokością swej wiary modlił się za swój dom rodzinny smutny i rozdwojony, który opuścił dzisiaj z takiem zadowoleniem. Prosił też Boga, aby Otylia Bastian przybyła na tę schadzkę, której godzina już się zbliżała. Ponieważ miał duszę szczerą, dodał jeszcze:

— Boże, wskaż nam drogę naszą, abyśmy mogli kroczyć po niej razem i oby się usunęły wszystkie przeszkody.

Od wieków na tem samem miejscu klęczała cała Alzacya.

Powstał i udał się do refektarza, gdzie już zakonnice zaczęły częstować pierwszych gości.

Otylii tam nie było.

Po śniadaniu, które trwało dosyć długo, opóźniał je bowiem ciągły napływ nowych pielgrzymów, Jan opuścił gościnny refektarz, zeszedł do stóp skały, na której stoi klasztór i znalazł się na drodze, prowadzącej do źródła św. Otylii; tu ukrył się w wysokim gęstym lesie, rosnącym na zakręcie. U stóp jego wał zbitej ziemi, usypanej igłami jodeł, wydawał się jakby zawieszony w powietrzu; po tamtej stronie bowiem zbocze góry było tak strome, że nie było go widać wcale. W jasną pogodę można było widzieć dwie ściany poprzeczne drzew, zagłębiające się na prawo i na lewo. W tej chwili wzrok napotykał zasłonę z mgły, skrywającej wszystko: przepaście, zbocza, drzewa; ale wiatr się podniósł i poruszał te opary, których gęstość zmieniała się bezustannie. Była już druga, za godzinę zaś miały uderzyć dzwony wielkanocne. Ciekawi, którzy przybywali dla ich usłyszenia, powinni byli być już blizko wierzchołka. Istotnie, Jan odróżniał w głębokiej ciszy dochodzące z dołu urywki zmieszanych głosów, które zdawały się muskać sklepienie lasu — ktoś gwizdał na nutę Marsylianki: „Formujcie szeregi!“ Upewniło to Jana, że nadciągali właśnie studenci alzaccy. Dwóch młodych ludzi, ten, który gwizdał, i drugi, który go dogonił, wyłonili się z mgły i zaraz się oddalili w kierunku opactwa. Potem przeszło młode małżeństwo; żona ubrana była czarno, jej stanik wycięty w półkole, odsłaniał białą koszulę, a na głowie sterczał czepiec z koronek w kształcie hełmu; mąż miał na sobie kamizelkę aksamitną w kwiaty, kaftan zapięty na guziki miedziane i czapkę futrzaną.

— Włościanie z Wissemburga — pomyślał Jan.

Potem przeszły kobiety z Alsheimu i Heiligenstein — świeże, wesołe, gwarzące. Ubrania ich zatraciły cechy narodowe alzackie. Pomiędzy niemi była też i jakaś kobieta z doliny Münster. Można ją było z łatwością odróżnić po czepku z ciemnej materyi, związanej podobnie, jak na południe związują chustki jedwabne i ozdobionej nad czołem czerwonym fontaziem.

Upłynęło jeszcze parę minut.

Jan znowu słyszał w mgle czyjeś kroki. Ukazał się ociężały ksiądz, który idąc, ocierał twarz chustką. Tuż za nim biegli dwaj chłopcy, o rozgarniętych twarzyczkach, prawdopodobnie zapóźnieni synowie kobiet, które przed chwilą zniknęły na zakręcie. Chłopcy, wymijając księdza, pozdrowili go po alzacku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, księże proboszczu.

— Na wieki wieków — odparł ksiądz.

Nie znał ich. Przemówił do nich tylko dlatego, ażeby odpowiedzieć na starodawny i piękny sposób pozdrowienia.

Jan siedząc na pół ukryty u stóp jodły, usłyszał jeszcze głos starca, który także wyminął księdza ze słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ileż razy pozdrowienie to rozbrzmiewało pod sklepieniami lasu!

Jan patrzył przed siebie tak, jak patrzą ludzie, pogrążeni w swych marzeniach. Wiozą oni kształty przedmiotów, ale nie przywiązują do nich myśli...

Pozostawał czas niejakiś w tem położeniu, kiedy nagle, przez mgłę, do uszu jego dobiegł cichy, zaledwie dający się rozróżnić szept, słabszy, niż świergot ptasząt: „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...“ potem nastąpił drugi szmer, który zakończył *Pozdrowienie anielskie:* „Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami...“ Jakieś mimowolne zmieszanie, jakaś tajemnicza pewność poprzedziła pojawienie się dwóch kobiet, które właśnie wstępowały na górę.

Obie były wysokiego wzrostu.

(Ciąg dalszy nastąpi).